

Tatarkiewicz, Władysław

Zapiski do autobiografii

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 21/2, 193-247

1976

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



W dniu 3 kwietnia mija 90-ta rocznica urodzin
Profesora WŁADYSŁAWA TATARKIEWICZA
— wybitnego historyka myśli ludzkiej.
Redakcja „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki” ma
zaszczyt drukować na swoich łamach *Zapiski do auto-
biografii* — powstałe specjalnie dla naszego czasopisma.



Władysław Tatarkiewicz

ZAPISKI DO AUTOBIOGRAFII

1. Szybkie początki, 2. Korzystne niepowodzenia, 3. Dom rodzinny, 4. Śmiałość i nieśmiałość, 5. Życie niezaplanowane, 6. Rodzina, 7. Dom na Długiej, 8. Dom na Krakowskim, 9. Dom na wsi, 10. Nowe wyrazy i pojęcia, 11. Zjawiska pamięci, 12. Szkoła, 13. Dni niecodzienne, 14. W Warszawie od roku 1913, 15. Potęga przypadku, 16. I Wojna Światowa, 17. Życie w dwu osobach, 18. Wilno, 19. Poznań, 20. *Mezzo del cammin*, 21. Podróże. Miejsce na świecie, 22. Mój czas, 23. Książki, 24. Praca, 25. Towarzyskość i światowość, 26. Zdrowie, 27. Pieniądże, 28. Powrót do kraju, 29. Wybuch wojny, 30. II Wojna Światowa, 31. Czasy powojenne, 32. Czas przyspieszony, 33. Ameryka, 34. *Professor emeritus*, 35. Znajomi, 36. Szczegół, 37. Prosto i jasno, 38. Upodobania artystyczne, 39. Upodobania moralne, 40. Fazy życia, 41. Projekty, 42. Filozofia, 43. Ambicje, 44. Pojęmowanie decyzji, 45. Żywi i umarli, 46. Pośpiech, 47. Koniec.

1

W początkach mego życia wszystko działo się wcześnie i prędko. Miałem równo 17 lat, gdy otrzymałem maturę. O rok wcześniej drukowałem pierwszy wiersz (jeden z nielicznych) w „Chimerze”. Byłem zaledwie pełnoletni, gdy zostałem przyjęty na audiencji przez Ojca św.; a była to prawdziwa audiencja, osobista na kilka osób i we frakach. Miałem lat 23, gdy uzyskałem doktorat i gdy ukazała się na zachodzie moja dość duża i dość uczona książka o Arystotelesie. W wieku lat 29 znalazłem się na katedrze uniwersyteckiej. Natomiast później szybkość życia bardzo się zwolniła, liczby stały się przeciętne: miałem 41 lat, gdy zostałem profesorem zwyczajnym, 44 — gdy członkiem Akademii Umiejętności. A w końcu doszedłem do liczb niezwykle wysokich: jedną z moich książek napisałem w dziewięćdziesiątym roku życia.

Czy z liczb tych wypływa jakiś wniosek ogólny?

Spotkałem się z teorią — i to wyrosła wśród empirycznie myślących uczonych: że życie każdego człowieka przebiega w takim tempie, szybszym czy wolniejszym, jak gdyby z góry było wiadomo, jak długo

będzie on żył; ci, co mieli żyć krótko, żyli szybciej. Klasycznymi polskimi tego potwierdzeniami są życiorysy Chopina, Słowackiego, Wyspiańskiego. Gdyby rzeczywiście tak było, to trzeba by powiedzieć, że moje życie zapowiadało się jako krótkie, ale od pewnej chwili to zagrożenie minęło i tempo życia z szybkiego przeszło w powolne.

2

Od wczesnych lat spotykało mnie sporo niepowodzeń. Ale niepowodzenia później okazywały się korzystne. Nie zdałem egzaminu wstępnego do gimnazjum — i tylko na tym skorzystałem, bo przez rok uczyłem się w domu i o rok krócej przebywałem w Warszawskiej Piątej Filologicznej Gimnazji. Nie zdałem też egzaminu konkursowego do politechniki: tu korzyść z niepowodzenia była jeszcze większa, bo przez nie pomyślałem o innym zawodzie i trafiłem do filozofii i historii sztuki.

W Uniwersytecie Warszawskim wykładałem od chwili jego odnowienia w roku 1915, a więc już podczas I Wojny Światowej. Po jej skończeniu zorganizowana została większa ilość polskich uniwersytetów, trzeba było obsadzić katedry; i komisja specjalna, która miała to zadanie, przydzieliła mnie do Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Było mi trochę ciężko rozstawać się ze swoją Warszawą, byłbym wolał zostać w stołecznym uniwersytecie. Ale — prędko się okazało, że środowisko wileńskie jest zachwycające.

Ma praca w Uniwersytecie Stefana Batorego trwała jednak tylko przez dwa lata 1919—1921, bo po nich przyszła szczególnie ponętna propozycja: specjalna katedra estetyki w Uniwersytecie Poznańskim. Zaczęły się wtedy dla mnie lata poznańskie, też bardzo dobre: nowi ludzie, nowe widoki, nowe tematy. Od roku zaś 1923 wróciłem do Uniwersytetu Warszawskiego, miałem więc ostatecznie to, czego chciałem. Wilno zaś i Poznań wzbogaciły me życie, dały poczucie, że nie tylko w Warszawie jestem w domu. Więc jeszcze jedno pozorne zło, które wyszło na dobre.

Analogiczna sytuacja utworzyła się po II Wojnie Światowej: dom warszawski był spalony, nie było dokąd wrócić, za to znalazł się dach nad głową w Krakowie. I jeśli lata, które nastąpiły bezpośrednio po wojnie, mogły być dobre, to były dla nas w Krakowie, w niezwykłym środowisku Akademii Umiejętności i Uniwersytetu Jagiellońskiego, wśród wielu dobrych, mądrych i życzliwych ludzi. Nie najmniejszą korzyścią było, że po środowisku warszawskim, wileńskim, poznańskim mogłem przebywać w jeszcze jednym środowisku, pozyskać nowych przyjaciół, poznać i polubić nowe dzieła sztuki. Pobyt w Krakowie był odczuwany jako prowizorium, ale jedno z najtrwalszych prowizoriów; dopiero po 15 latach znalazłem się znów tam, skąd wyszedłem: w Warszawie.

Lata, w których żyłem, nie były łatwe dla Polaka. Jeszcze po skończonej II Wojnie Światowej nie skończyły się me niepowodzenia. Były lata pięćdziesiąte: choć miałem w Uniwersytecie Warszawskim katedrę, Ministerstwo zawiesiło me wykłady. Zakaz trwał z górą 6 lat. Ale i tu można powiedzieć: niepowodzenie wyszło na dobre, bo dzięki niemu miałem dużo wolnego czasu i mogła powstać *Historia estetyki*, która tego czasu potrzebowała bardzo wiele.

3

Bardzo mądra kobieta, pani Ksawera Potworowska, matka mej żony, która wspaniale wychowała swoje, mawiała, że dzieci wychowuje się tylko do trzech lat. Ktoś inny, nie mniej mądry, trwałość przekonani i uczuć, jakich się dziecko do tego wieku nauczy, tłumaczył tym, że te prawdy, przekonania, uczucia były wprowadzone bez uzasadnień, bez argumentów i właśnie dlatego żadne uzasadnienia późniejsze, żadne kontrargumenty się ich nie imają.

Pogląd ten sprawdził się też na mnie. Nie znaczy to nawet, by mię w dzieciństwie pewnej postawy życiowej uczono, wystarczyło, że w domu zajmowano tę postawę i że ją przejąłem. Wyniosłem ją z domu jako fakt i żyłem tak, jak gdyby była postawą jedyną i konieczną. Należę do gatunku ludzi, których w swej genialnej klasyfikacji F. Znaniecki nazywa „wychowanymi”. Jedną z cech tych ludzi, i moją też, jest poczucie (pewnie złudne), że to, czym jestem i co robię, jest konieczne, że po prostu nie ma tu wyboru.

Długo też miałem poczucie (tym bardziej wątpliwe), że moja sytuacja i los są powszechne; długo zaskakiwało mię, gdy widziałem, że inni ludzie nie tylko mają odmienne warunki życia, ale sami są odmienni. Ale w końcu doszedłem do filozofii właśnie pluralistycznej, do przekonania o wielorakości świata, ludzi, wartości.

Dom jest instytucją hierarchiczną — jest nią już przez to samo, że łączy pokolenie starsze i młodsze, rodziców i dzieci. Dzieci miewają w nim wysoką pozycję, ale nie najwyższą; nad nimi są jednakże rodzice i wychowawcy. Tak było przynajmniej w mej młodości. Z domu wyniosłem poczucie hierarchiczności i zachowałem je na całe życie, a także poczucie, że nigdy i nigdzie nie należy mi się pierwsze miejsce. Pozycja przewodniczącego, która później mi czasem przypadła w udziale, zawsze krępowała mnie i nie sprawiała mi przyjemności. Chętnie siadam w drugim rzędzie krzeseł, byle nie w pierwszym. Jestem teraz bardzo starym człowiekiem, a jeszcze lubię, gdy mię ktoś pochwali, potwierdzi, że dobrze coś zrobiłem czy powiedziałem: to pewnie też echo dzieciństwa.

Dom, w którym wyrosłem, był domem bez surowości i rygorów. Wszystko w nim odbywało się zgodnie i łagodnie. W szczególności matka moja była kobietą niezwyklej łagodności, ale i ojciec także. Niemniej panował w domu porządek i chyba od tego czasu zostało we mnie upodobanie do porządku. Nie mogę pracować, gdy na mym biurku papiery są w nieładzie. Złe się czuję, gdy nie mam programu na cały dzień, a nawet — w ogólnym zarysie — na tydzień, na miesiąc z góry. To, co piszę, nie wydaje mi się skończone, póki nie jest zupełnie uporządkowane i przejrzyste.

Wychowałem się w domu zgodnym, nie widywałem kłótni, nie słyszałem o zatargach. I to zostało na całe życie: wolę ustąpić i nie domagać się tego, co mi się należy, byle się nie spierać.

Nie pamiętam, by w domu czegoś „nie było wolno”. Po prostu się tego czy innego nie robiło. I jakoś całe życie przeżyłem bez posługiwania się kategoriami „wolno” i „nie wolno”. Zresztą rzeczy, których się nie robiło, nie było mało. I podobnie w późniejszym życiu. Stąd zapewne zostało mi pewne poczucie „niewyzycia się”. Ale to właśnie dobrze.

Napisałem powyżej, że się źle czuję bez programu na przyszłość: ale program nie jest mi imperatywem, zawsze gotów jestem od niego odstąpić, potrzebny mi jest jako rama, którą mogę wypełnić inaczej niż było zaprojektowane. Ostatecznie zawsze zdecydują warunki, na jakie trafię. I to też okazało się korzystne.

Wychowałem się w domu wierzącym. Prawdy wiary były dla mnie w dzieciństwie i później taką samą rzeczywistością jak fakty otaczającego mnie świata. Niemało ułatwiały mi życie — choć czasem myślę, że wiara religijna jest rzeczą, którą należy samemu zdobyć, a nie dziedziczyć.

4

Ważną rzeczą w życiu jest śmiałość. Oczywiście należy ją odróżniać od odwagi: odwaga jest cnotą, śmiałość — usposobieniem. Do odwagi okazja tylko czasem się zdarza, do śmiałości — codziennie. Odwagę ogół podziwia, a śmiałych jedni lubią, drudzy nie. Jednakże nie dla drugich, lecz dla samego człowieka śmiałość jest rzeczą największej wagi, nieśmiałość zatruwa nieśmiałemu życie.

Byłem dzieckiem śmiałym. Kiedyś — miałem wówczas 4 lata — byli u mego ojca koledzy, ojciec wyszedł na chwilę, a gdy wrócił, stałem na kanapie i deklamowałem urywek z *Granżyny*, którego się właśnie, nie wiem już jak i po co, nauczyłem.

Była to jednak śmiałość częściowa: śmiałość wobec starszych, nie miałem jej wobec rówieśników. Wyszło to niebawem na jaw, gdy znalazłem się we freblówce (jak nazywano wówczas przedszkola). Była oczywiście prywatna (innych nie było), odbywała się w domu państwa Herse, właścicieli największego domu mód w Polsce, dla ich córki Wandy, późniejszej kierowniczkii firmy. Jeszcze wówczas Hersowie nie wybudowali swego wielkiego domu na Placu Dąbrowskiego, ich dom mieścił się na Senatorskiej, róg Daniłowiczowskiej, w tej samej kamienicy, gdzie obecnie jest Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Otóż gdy służąca po raz pierwszy mnie tam odprowadziła, nie chciałem jej za żadne skarby puścić, musiało być ze mną w tym samym pokoju. I tak pozostało na stałe, bałem się zostać sam z innymi dziećmi.

Z tej freblówki zostały mi inne jeszcze dziwaczne wspomnienia. A więc: do nauki freblowskiej należało lepienie różnych rzeczy z plasteliny. Tymczasem za nic nie chciałem wziąć plasteliny do ręki i to tak stanowczo, że trzeba było mi ustąpić. Inna rzecz: obok lepienia z plasteliny do programu należało nauczenie się czytania i pisania. I tu okazało się coś szczególnego: byłem tępszy i oporniejszy od innych dzieci, nie mogłem w sztuce czytania i pisania za nimi nadążyć. Wobec tego sama pani Herse, osoba niesłychanie zajęta, kierowniczka olbrzymiego domu mody, z niezwykłym wyrozumieniem i dobrocią dawała mi coś w rodzaju korepetycji, ahym dogonił kolegów. Jakoś się to udało, czytać i pisać ostatecznie się nauczyłem i po tylu latach od czuwam wdzięczność dla polskiej Chanel, która była mi korepetytorką. Ale jednak w biografii pisarza jest to ciemna plama.

Me dziwaczne zachowanie, o którym wspomniałem wyżej, tłumaczę sobie dziś nieśmiałością wobec rówieśników, naówczas 5- czy 6-letnich. Pozostała ona i później: w gimnazjum czułem się śmiały wobec nauczycieli, nieśmiały wobec kolegów. Później wytłumaczył mi to Florian Znaniecki, rozróżniając postawę tych, co byli starannie wychowani w domu, od tych, co wyrosli wśród rówieśników i ich zabaw. Ci

przywykli do rówieśników, tamci zaś się ich boją, bo przywykli do dorosłych i ich opieki.

Z czasem ma nieśmiałość nawet się rozszerzyła: objawiała się wobec każdego, kto był lub wydawał mi się być, mądrzejszy, elegantszy, przystojniejszy, na lepszym stanowisku itp. Krótko: byłem nieśmiały wobec śmiałych. Utrudniało mi to życie. Potrzeba było wielu lat i pewnych sukcesów życiowych, by się ta nieśmiałość zmniejszyła.

Nieśmiałość objawiała mi się nie tylko wobec ludzi, ale też wobec sytuacji: jak sobie dam radę w nieznanym kraju, miejscu, nieznanym gronie, w nie próbowanej dotąd robocie? Jednakże te fobie „rzeczowe”, słabsze niż personalne, potem całkowicie znikły: po prostu odzwyczaiłem się myśleć o tym, jak zrobię to, co mam zrobić. Od dawna już myślę o tym co robię, a nie o tym jak to zrobię, odzwyczaiłem się od wyobrażeń przeszłościowych.

5

Zawodem mym życiowym była nauka — ale czy była powołaniem? Jeśli była, to objawiło się to późno. Dość długo byłem wobec niej, jeśli nie niechętny, to obojętny. W gimnazjum koledzy w tajnym kółku czytali Spinozę — mnie to nie było w głowie. Robiłem wówczas co innego: czytałem powieści i wiersze. Robiłem to nie tylko w domu, ale też na lekcjach pod ławką. Dzięki temu skończyłem gimnazjum ze sporym odczytaniem, co prawda ograniczonym do beletrystyki i poezji.

Po uzyskaniu matury żaden zawód mię nie pociągał, a najmniej myślałem o zawodzie uczonego. Usiłowałem dostać się na politechnikę, ale tylko dlatego, że tak chcieli moi rodzice. W duchu ówczesnym uważali, że najbardziej obiecującym zawodem jest zawód inżyniera. Nie miałem nań ochoty, ale nie miałem też ochoty na żaden inny zawód. Po niepowodzeniu egzaminowym zapisałem się na wydział matematyczny uniwersytetu, bo z niego miało być łatwiej dostać się potem na politechnikę. Ale matematyka tak mnie nudziła, że wytrzymałem tylko trzy tygodnie. Przeniósłem się na wydział prawa. Nie dlatego bym miał szczególne powołanie do studiów prawniczych, lecz że na tym wydziale byli koledzy, których najbardziej lubiłem. Jedyna rzecz, na którą naprawdę miałbym wtedy ochotę, to — hodować konie, ale na to nie byłem dość bogaty.

Przeszedłem na drugi rok prawa, ale był to rok 1905, rok burzliwy. Zaczął się wiecem, domagającym się języka polskiego w szkołach wyższych. Po tym dramatycznym wiecu uniwersytet został zamknięty, a ja straciłem prawa studenta. I znów stało się coś złego, co mi na dobre wyszło. Ale to się okazało dopiero po latach.

W ciągu półtora roku mego studium prawniczego nie całkowicie jednakże traciłem czas. Wykłady uniwersyteckie mię nie interesowały, za to chodziłem na tajne, przede wszystkim na wykłady filozofii i psychologii Adama Mahrburga. Te zakonspirowane wykłady były zapewne najlepszymi z tych wszystkich, jakich słuchałem w życiu. Ale chodziłem na nie jakby dla przyjemności, tak jak się chodzi na koncert czy do teatru, ani mi w głowie nie powstało, że sam będę kiedyś filozofię wykładać.

Jednakże, gdy po zamknięciu uniwersytetu zostało postanowione, że wyjadę do szkół zagranicznych, nie byłem całkowicie nieprzygotowany. Zdawało się, że zamknięcie uczelni warszawskiej jest tymczasowe i że wkrótce do niej na wydział prawny wrócę.

Wyjeżdżając za granicę nie myślałem o wykształceniu zawodowym, lecz o tak zwanym ogólnym. Stało się inaczej. Rzecz szczególna: choć byłem wprowadzony przez Mahrburga w filozofię, nie myślałem o dalszym jej studiowaniu i nie wybrałem uniwersytetu z dobrą filozofią. Pojechałem do Zurychu, dlatego że tam jechał najbliższy mi wówczas kolega Władysław Kornilowicz, później tak bardzo znany i wielbiony duchowny. W Zurychu filozoficznych wykładów prawie nie było. Chodziłem na te wykłady, na które chodził mój kolega: na wykłady przyrodnicze, zoologię, antropologię. Wszystko mi było jedno, chciałem się czegoś nauczyć, a żadnych szczególnych upodobań naukowych nie miałem.

Po jednym semestrze szwajcarskim przenieśliśmy się do uniwersytetu bliższego a większego — w Berlinie. Tu nie brakło w zakresie filozofii sławnych profesorów i znakomitych wykładowców. Owszem, chodziłem na te wykłady, ale jakby przygodnie, bez poczucia, że stanowią moją sprawę. Nie przesiadywałem nigdy porządnego kursu historii filozofii ani logiki, ani estetyki (wykładał ją wówczas Dessoir). Chodziłem raczej na pasjonujące monograficzne wykłady Simmla. I jednocześnie uczęszczałem na wykłady z historii politycznej, archeologii klasycznej, historii sztuki, socjologii, psychologii eksperymentalnej, przeszedłem sumiennie kurs chemii, chodziłem nawet na wykłady wydziału medycznego: anatomii i psychiatrii. Było w tym znacznie więcej ciekawości niż programu, sensu, konsekwentnego studiowania. Dość prędko zapomniałem prawie wszystko z tego, czego wówczas wysłuchałem — z wyjątkiem tego, czym się potem sam zajmowałem. Dziś byłbym złego mniemania o studencie, który by w ten sposób gospodarował swym czasem.

Mieszkałem w Berlinie początkowo z Romanem Dmochowskim z Sarnowa w Łukowskim, mym kolegą szkolnym, później szwagrem. Studiował on w Niemczech chemię, by stać się później znakomitym rolnikiem-chemikiem. Choć obaj z domu mieliśmy niemało pieniędzy, żyliśmy jak studenci-proletariusze. Nie umiem już zrekonstruować naszej ówczesnej mentalności, ale nam to odpowiadało. Jadaliśmy w garkuchniach, mieszkaliśmy w jednym pokoju w Charlottenburgu, bo tam pokoje studenckie były tańsze, ale za to trzeba było dojeżdżać koleją miejską i wyszedzszy rano na wykłady wracaliśmy dopiero po teatrze, cały dzień bezdomni, przespać można się było tylko w Bibliotece Królewskiej nad książką.

Po paru miesiącach Stefan Spiess zaproponował mi, bym z nim zamieszkał; miał parę pokoi w samym centrum miasta koło uniwersytetu i Friedrichstrasse. Teraz tryb życia zmienił się na wygodny. Stefan był o 7 lat starszy ode mnie; gdy zaczynałem swe studia, on swoje inżynierskie w Belgii już był skończył i teraz w Berlinie uzupełniał je wykładami z ekonomii. W Warszawie czekało nań kierownictwo nowego działu, jaki miał być otwarty w fabryce Lilpopa i Rau. Osiadł w następnym roku w Warszawie. Czekając na zmontowanie owego działu i biorąc wysokie pobory, miał czas wolny, zajmował się muzyką i sztukami pięknymi, jeździł, gdy był gdzieś w świecie zapowiadany wielki koncert czy piękna wystawa.

Z otwarciem działu fabryki wciąż zwlekano, wreszcie Spiess zrezygnował z fikcyjnej posady i poborów; do pracy zawodowej już nie wrócił i — prędko zapomniał o swych kwalifikacjach. Zajmował się sztuką, wiódł przyjemne życie amatora przez całe 40 lat. Aż

przyszła wojna i nie zostawiła nic z jego dużego rodzinnego majątku. Wtedy zaś, już jako niemłody człowiek, teraz słaby i chory — rozpoczął pracę; wstawał o 5 rano, zatłoczonym tramwajem jechał do radia, gdzie dostał posadę, po południu dawał lekcje francuskiego i angielskiego. Dostosował się, i nikt nigdy nie usłyszał słowa skargi. Jak on mnie kiedyś w Berlinie, tak ja mu teraz mogłem ofiarować pokój w Warszawie, i znów lata 1948—1960 spędziliśmy obok siebie.

Niedziele berlińskie spędzaliśmy najczęściej z Ignacym Dobrskim, synem Konrada, przyjaciela mego ojca, jeszcze jednym dziedzicznym przyjacielem. Studiował inżynierię w politechnice charlottenburskiej i był co się zowie „studentem największych nadziei”. Nadziei tych ten człowiek pełen zdolności, wiedzy zawodowej, bystrej inteligencji i swoistego uroku — nie spełnił. Myślał o pracach niezwykłych, zajęciach nadzwyczajnych, próbował — zupełnie bezskutecznie — kolonizować Algier, wprowadzać tam racjonalne gospodarstwa rolne. Skończył jako drobny funkcjonariusz w Warszawie. Ostatni raz widziałem go w obozie pruszkowskim w sierpniu 1944 r. Po wyjściu z obozu odebrał sobie życie; można go było jeszcze odratować, ale nie pozwolił.

Życie berlińskie było intensywne. Nie tylko uniwersyteckie; — bo jednocześnie: co dzień bywałem w muzeach czy na wystawach nowości artystycznych, co wieczór w teatrze lub na koncercie. Nic dziwnego, że po dwu takich latach czułem się zmęczony. A przez ten czas w kraju nic się nie zmieniło. Uniwersytet w Warszawie nadal nie był czynny, i nie było do czego wracać; więc postanowiłem się przenieść do któregoś z mniejszych niemieckich uniwersytetów.

Przypadek spowodował, że był to Marburg. Był przeciwieństwem Berlina: piękne, maleńkie historyczne osiedle bez teatrów i wystaw, bez efektownych wykładów, bez Polaków, z obcokrajowcami, jako towarzyszami (oprócz Niemców studiowało tam najwięcej Rosjan i Hiszpanów), z samotnymi spacerami po przepięknej okolicy. Ozdobą i atrakcją uniwersytetu była sławna neokantowska szkoła filozoficzna. Nie umiem sobie już dziś przypomnieć, kiedy i jak się to stało, że zdecydowałem się skoncentrować swe studia na filozofii. Chyba stało się to jeszcze w Berlinie. W Marburgu zaś nie było wyboru, jego siłą była tylko filozofia, i to szczególnie filozofia „szkoły marburskiej”.

Zajęć było mało: 4 razy na tydzień po południu były wykłady dwu profesorów: na wykłady te chodziłem, potem tylko na jeden, bo wykład Natorpa, monotony, źle wygłaszany, nudził mnie; wybitnego uczonego wolałem czytać niż słuchać. Ranki i wieczory pracowałem w swym pokoju, przez pierwszy rok czytałem Platona, przez drugi Kanta, w trzecim profesor zaproponował mi Arystotelesa jako temat rozprawy doktorskiej. Kupiłem sobie pięć wielkich tomów jego dzieł w starym wydaniu Akademii Pruskiej, stopniowo przypominałem sobie wyuczoną w gimnazjum grekę. Po roku rozprawa była gotowa, nie zastanawiałem się nad tym, czy dobra; myślałem o tym, by mieć dyplom, a nie o tym, by robić odkrycia filozoficzne; przedstawiłem profesorom, nic nie poradzili ani nie skrytykowali, zaaprobowali; rygorozum odbyło się, znalazł się dla książki nakładca, a największy światowy znawca Arystotelesa, sir David Ross w recenzji „Mindu” bardzo pochwalił me ujęcie Stagiryty. Ale wtedy recenzja ta nie dostała się do mych rąk; gdyby się była dostała, to zapewne raczej by mnie zdumiała, niż wbiła w dumę.

Tak się skończyły me studia: chaotyczne, przypadkowe, nie kierowane. Dowiedziałem się w ich toku, jak niektórzy filozofowie uprawiają naukę, ale żaden mi nie poradził, jak ja mam ją uprawiać; ani też nie podsunął tematu dalszej pracy. Mych mistrzów marburskich podziwiałem, ale nie miałem najmniejszej ochoty iść ich torem. Skończyłem studia, ale nie zdobyłem programu na przyszłość. Wina była mych profesorów, ale także i moja.

Po doktoracie pojechałem jeszcze do Lwowa: chciałem się dowiedzieć, jak pracują Polacy. Od razu przekonałem się, że pracują inaczej i lepiej: szkoła Twardowskiego uczyła właśnie, jak pracować naukowo. Było to niestety lato 1910; zamieszki ukraińskie spowodowały zawieszenie wykładów, zdążyłem być jedynie na dwu wykładach i dwu ćwiczeniach mistrza. Nie pamiętam już, o czym tam była mowa, ale pamiętam metodę: odpowiadała mi bardziej niż innych zachodnich profesorów.

Potem jeszcze rok akademicki 1911/12 spędziłem w Paryżu. Było tu podobnie jak przedtem w Berlinie: więcej sztuki i literatury niż filozofii. Owszem, chodziłem sumiennie na wykłady Bergsona i Janeta w Collège de France, ale i w nich znalazłem przyjemności więcej niż treściwego pożywienia.

A wreszcie trzeba było wracać do swego domu. W Warszawie jednak nie było nic, do czego miałbym się śpieszyć, nie oczekiwało żadne wyraźne zadanie, nie miałem określonego planu życiowego. Miałem stopień naukowy i książkę wydaną, ale właściwie nie wiedziałem, co mam ze sobą robić. Nie robiłem planów i okazało się, że to nie jest niezbędne. Nie zmierzałem do tego, co się później stało, ani tego oczekiwałem. Zapewne musiałem mieć do tego jakieś predyspozycje. Choć czasem myślę, że na innym polu mogłem mieć lepsze wyniki. W każdym razie — życie me zupełnie nie było życiem zaplanowanym.

6

Jestem z rodziny małolicznej: mój pradziad Wincenty Tatarkiewicz nie miał brata ani nie miał go mój dziadek; mój ojciec miał, ale wcześniej stracił; tylko w moim pokoleniu było nas dwóch; mój syn jest znów jedynakiem, wnuk też. Było więc nas i jest tylko tylu, ile było konieczne, by rodzina nie wygasła. Natomiast rodzina mej matki, a potem także mej żony była liczna, więc ostatecznie znam przyjemności i korzyści rozrodzonej rodziny. Natomiast miałem to szczęście, że o niesnaskach rodzinnych wiem tylko z opowiadań i powieści.

Pokolenia były długie, mój pradziad urodził się przed więcej niż 200 laty, mój dziad Józef Jakub (używał drugiego imienia) też jeszcze w XVIII wieku; ojciec mój, Franciszek Ksawery (również używał tylko drugiego imienia), był urodzony w roku 1848, ja — w 1886 roku. Mój dziad, ojciec, brat żyli krótko. Wszyscy zmarli między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem życia; od paru pokoleń jestem pierwszym mężczyzną, który przekroczył 60 lat. Kompensata była po stronie matki: mój pradziad (jak to niedawno przypomniał mi jego nagrobek) żył 96 lat.

Mój ojciec miał 4 lata, gdy umarł jego ojciec; on zaś sam zmarł, gdy byłem jeszcze w szkołach. Na skutek tej krótkowieczności ojców matki były tymi, które wychowywały synów. A dalszym tego skutkiem było, że dzieci żyły raczej z rodziną matek; to znów miało ten

skutek, że charakter rodziny dość znacznie zmieniał się co pokolenie. Dziadka mego nie pamiętam: różnica wieku była zbyt wielka, blisko 90 lat. Znałem go tylko z autoportretu i z dagerotypu (piszę „znałem”, bo autoportret, zarówno jako dagerotyp uległy zniszczeniu podczas Powstania Warszawskiego). Tak samo nie pamiętam mego dziadka matczyńskiego. Natomiast pamiętam z dzieciństwa obie moje babki i mnóstwo kobiet z rodziny.

Co do zawodu: Jakub Tatarkiewicz nie miał wątpliwości. Chciał zostać i został artystą. W następnym pokoleniu już się to nie powtórzyło. Mój ojciec mówił nieraz, że marzeniem jego była praca naukowa, ale w Warszawie nie było ku temu warunków; był magistrem prawa i administracji Szkoły Głównej, adwokatem. Za nim poszedł mój brat.

Zawód nauczycielski rozpoczęła w rodzinie Antonina Tatarkiewicza, przez wiele lat przełożona pensji, niewątpliwie pierwszej pensji Warszawy w trzeciej ćwierci XIX wieku. Rodzina mojej matki mieszkała w Lubelskiem, zajmowała się rolnictwem. Była to rodzina zamożna, a nawet więcej niż zamożna. Jednakże sytuacja ziemiaństwa w II połowie XIX w. nie była łatwa. Dziadek, jak to się wówczas mówiło, „stracił” majątek. Krzywda mu się ostatecznie nie stała, bo mieszkał odtąd z rodziną w majątku (Bełżyce) bogatego brata. Jakub Tatarkiewicz miał spory folwark, Gołębiówek pod Piasecznem, który zamienił potem na Sosnowkę w Siedleckiem, ale i tę żona jego sprzedała, gdy umarł.

*

Obejmuję pamięcią niemały szmat czasu. Że jest niemały, wnoszę stąd: gdy jako chłopiec, powiedzmy ośmioletni, słuchałem o Napoleonie, to wydawał mi się kimś niesłychanie odległym w czasie, nie bliższym niż na przykład Juliusz Cezar. Teraz obliczam, że od śmierci cesarza dzieliło mię wtedy 70 lat. A teraz sam obejmuję własną pamięcią znacznie więcej czasu: przed 70 laty byłem już po maturze. Ten student zagranicznego uniwersytetu, jakim byłem w 1905 roku, jest mi teraz czasowo równie odległy, jak Napoleon był mi w dzieciństwie. A przecież pamiętam lata jeszcze dawniejsze.

*

Dziś rodzina nie jest liczna. Są trzy pokolenia; noszących rodzinne nazwisko jest nas razem pięcioro, bo wnuk nie jest jeszcze do pary. Wszystkie trzy pokolenia mieszkają w Warszawie, wszystkie są związane z Uniwersytetem Warszawskim: jestem jego profesorem filozofii w stanie spoczynku, mój syn jest profesorem czynnym matematyki, mój wnuk asystentem — stażystą fizyki.

Druga część rodziny mieszka na Wybrzeżu, jest ich również pięcioro: bardzo nam bliskie i kochane bratanice — Elżbieta Skrzyńska z mężem i dr Janina Suchorzewska z mężem i synem.

Poza krajem został tylko jeden bliski krewny, Kazimierz Brzeziński w Montrealu. Daleko bardziej rozproszyła się rodzina mej żony: jej bratowa mieszka na Jamajce, brataniec w Bangkoku, siostrzeńcy w Londynie, Montrealu, Lozannie, dalszy krewny w Australii.

7

Do pożaru Warszawy posiadałem trzy pamiętniki rodzinne: pamiętnik dziadka Jakuba, pamiętnik ojca mej babki, Jana Brzezińskiego, i pradziadka Franciszka. Wszystkie trzy spłonęły. Fragment pamięt-

nika Jakuba wydrukował w swoim czasie K. W. Wójcicki w „Cmentarzu Powązkowskim”, 1848. Pamiętnik Jana, urzędnika Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchowych, był niezbyt ciekawym dokumentem, wspomnieniami człowieka zanego, ale przeciętnego; zapamiętałem z niego jedno tylko zdanie: w 1831 r. kula armatnia padła blisko niego, on wtedy, jak pisze, „klęknął i podziękował Bogu za uratowanie ojca pięciorga dzieci”.

Franciszek, który był jakoś związany z dworem Stanisława Augusta (i jest wymalowany na jego „Elekcji” przez Canaletta), miał zatarg z jakimś cudzoziemcem. Sprawa była bodaj gardłowa, dość że musiał opuścić kraj i walczył z Turkami po stronie rosyjskiej, otrzymał nawet za męstwo szablę wysadzaną turkusami, która wszakże za mego życia była już tylko wspomnieniem rodzinnym. — Tę opowieść rodzinną wziął za temat jednej ze swych powieści krewny mój, Antoni Bogusławski.

Wszystkie posiadane przeze mnie rękopisy zginęły; natomiast pamięć moja żywo zachowała rzeczy widziane w dzieciństwie, zwłaszcza dom mej babki.

Dzieje mego życia zaczęły się w roku 1886 w Warszawie przy ulicy Długiej. Było to ówczesne centrum miasta, Nowy Świat uchodził jeszcze za adres dość odległy. Dom przy Długiej stosunkowo mało ucierpiał w 1944 r. przez zniszczenie miasta i stoi nadal jako ładna dwupiętrowa kamieniczka. Nosi dziś numer 18, ale wtedy odróżniano domy nie według numerów, lecz wedle właścicieli; był to „dom Bockhana”. Dla nas był domem prawie rodzinnym: na drugim piętrze mieszkali (do 1890 r.) moi rodzice, a pierwsze zajmowała moja babka z siostrą, córką, zięciem, wnuczką.

Antonina Tatarkiewiczowa jeszcze w pierwszej połowie XIX w. założyła „pensję” dla pańien — znany przez parę pokoleń zakład wychowawczy Warszawy, który po powstaniu 1863 r. przekazała swej młodszej siostrze, Teresie. W latach dziewięćdziesiątych, których sięga ma pamięć, nie tylko moja babka, ale też „Panna Teresa” były emerytkami: jednakże w ich domu było jeszcze pełno ech ich „pensji”, dawne uczennice były stałymi gośćmi, przyjeżdżały z całego zaboru rosyjskiego, nawet z Podola i Ukrainy. Było zwłaszcza kilka (nie-młodych już wówczas) pań, które łączyła niezwykła przyjaźń z dawnymi przełożonymi. Na młodego chłopca, jakim wówczas byłem, szczególnie wrażenie robiła otoczona legendą pani Pelagia Dąbrowska, wdowa po Jarosławie, a także druga pani Dąbrowska, z domu Bogusławska, wnuczka sławnego Wojciecha. Z tradycji już tylko wiedziałem, że dawniej w przyjaźni z mą babką i całym tym gronem był A. E. Odyniec. Z mężczyzn w tym domu starych kobiet bywało więcej księży niż świeckich: na dziecku największe wrażenie robili zakonnicy, o. Prokop i o. Honorat, kapucyni, którzy z Nowego Miasta, jednego z ostatnich klasztorów zostawionych w Królestwie, przyjeżdżali niekiedy do Warszawy. Miał też w domu mej babki siedzibę jakiś (oczywiście w owych czasach tajny) związek religijny kobiet, nazywały się, o ile pamiętam, „kobietami ewangelicznymi”; od czasu do czasu przyjeżdżała z Litwy pani Mineyko, przewodnicząca tego związku.

Z babką mą mieszkala nie tylko jej siostra, ale też jej córka i wnuczka, późniejsza zakonnica. Był to prawdziwy „dom kobiet”, bardzo czcigodny, bardzo pobożny, ale było w nim zawsze dużo gości, dużo ruchu i nawet dziecko, jakim wówczas byłem, lubiło tam chodzić.

8

Drugim warszawskim domem mej młodości był oczywiście dom rodziców, zwłaszcza ten, gdzie mieszkałem od piątego roku życia. Mieszkanie było na Krakowskim Przedmieściu, rozległe, z widokiem na ulicę z jednej strony, a na Wisłę z drugiej. Było to to samo mieszkanie, które później zajmował Tadeusz Boy-Żeleński. Z jego okien jako wyrostek oglądałem odsłonięcie pomnika Mickiewicza. W swym wyglądzie miało pewne cechy staroświeckiego muzeum. Na postumentach stały marmurowe popiersia rzeźbione przez mego dziadka: Napoleon, ks. Józef, Kościuszko, Chopin, z Tańskich Hofmanowa, pod ścianami stały duże płaskorzeźby, na ścianach medaliony z kararyjskiego marmuru. Na ścianach rozwieszona była cała galeria, zebrana przez mego dziadka, włoskie płótna XVII i XVIII wieku, w tym niektóre — *Zuzanna ze starcami* i *Znalezienie Mojżesza* — tak duże, że zajmowały całe ściany. Szambelan Lachnicki, jedyny naówczas w Warszawie znawca starych obrazów, rozpoznał w tej galerii obrazy Panniniego, Angeliki Kauffmann i szkoły Gaspard Dughet.

Z galerią niezbyt harmonizowały sprzęty: stare meble zostały na Długiej i w Bełżycach. Rodzice moi mieli nowe, odpowiednio do smaku owych czasów, rzeźbiony dąb w jadalnym, czarna gruszka i pluszowe obicia w salonie. Wzrosłem wśród tych sprzętów, ale prędko przestały mi się podobać.

Ojciec mój, wychowanek Szkoły Głównej, z niej i z domu wyniósł rozległe zainteresowania. Zwłaszcza w końcowych latach życia, gdy się już częściowo wycofał z pracy zawodowej, czytał dużo — także obcej beletrystyki. Przechowywał bibliotekę swego ojca (głównie książki z zakresu sztuki i podróźnicze), ale jej nie uzupełniał, zbierał natomiast książki prawnicze, poezje polskie, książki z historii Polski, zwłaszcza XIX wieku.

Grono przyjaciół i bliskich znajomych stanowili przeważnie dawni koledzy ze Szkoły Głównej i koledzy prawnicy. Byli wśród nich ludzie wybitni: doktor medycyny Konrad Dobrski, późniejszy prezes Kasy Mianowskiego, brat jego Maksymilian, znany rolnik, inżynier Feliks Kucharzewski, historyk techniki polskiej, następca Dobrskiego w Kasie, inżynier Gustaw Kamiński piszący pod pseudonimem Gamaston, z literatów Marian Gawalewicz, Karol Strasburger, dyrektor kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, z prawników, adwokat Cezary Ponikowski, Marcelli Kramsztyk, rejent Zygmunt Wasiutyński, adwokat Józef Higersberger, później pierwszy minister sprawiedliwości R. P., adwokat Jan Mrozowski, zastępca mego ojca w kancelarii adwokackiej, za polskich czasów prezydent Warszawy. Przyjeżdżali też koledzy i przyjaciele z prowincji: z Kalisza przyjeżdżał adwokat Alfons Parczewski (później mój starszy kolega w uniwersytecie Stefana Batorego), z Suwałk — adwokaci Władysław Smoleński i Gustaw Zabłocki.

Szczególnie bliskie były stosunki ze Stanisławem Lesznowskim, redaktorem „Gazety Warszawskiej”, i jego rodziną. Były to przyjaźnie całorodzinne i dziedziczne: dom Lesznowskich był zawsze drugim moim domem, a córki Stanisława, Julia Otocka i Celina Wyleżyńska, zastępowały mi siostry. Dziś jeszcze Andrzeja Biernackiego, który po kądzieli się z Lesznowskich wywodzi, odczuwam jako jednego z mych bliskich.

Poza tymi stosunkami koleżeńskimi były rodzinne: liczna rodzina mej matki często spod i zza Lublina przyjeżdżała do Warszawy; byli między nimi ludzie wybitni, jak Antoni Hempel, później poseł do Dumy, czy Ludwik Malczewski, znakomity hodowca koni i utalentowany muzyk. Było to tak typowe dla Kongresówki końca XIX w. zespolenie inteligencji miejskiej i ziemiańskiej. Przy tym zabór rosyjski był zamkniętą całością; znaliśmy niemało ludzi spoza Królestwa — z Litwy, z Ukrainy, z Rosji; natomiast nikogo z Wielkopolski czy Galicji.

Dodać trzeba: Warszawa w owych latach mego dzieciństwa miała wielu mieszkańców, ale była małym miastem. Wszystko w przybliżeniu działo się między Nowym Światem a Marszałkowską i między Miodową a Piękną. Bardzo nieliczne były okazje wyjścia poza te granice: na spacer do Łazienek czy na pogrzeb na Powązki. W mej młodości na Saską Kępę można się było dostać tylko łódką. Konne dorożki i konne tramwaje były lokomocją zupełnie wystarczającą.

I jeszcze: w mym dzieciństwie, za życia mego ojca, który umarł w roku 1903, nie było najmniejszej zapowiedzi, że niepodległość Polski może być odzyskana. Życie pokolenia mego ojca było spokojne, ustabilizowane, zasobne, osobiście bezpieczne i — beznadziejne.

9

Przez pierwsze dziesięć lat życia świat mój miał wyraźnie dwa ośrodki. Ośrodek zimowy był w Warszawie: na Długiej, a potem na Krakowskim. Ośrodek zaś letni był na wsi: wieś nazywała się Belżyce, o trzy mile od Lublina, mieszkali w niej macierzyści dziadkowie. W mieście żyłem z mieszanymi uczuciami, bo jednak trzeba było chodzić na ową freblówkę. Za to lato było czystą rozkoszą. Wieś była jak to wieś, nie gorsza od innych, a może trochę lepsza, bo utrzymywano jeszcze sforę psów gończych, a z jarmarku w Łęcznej przyprowadzono, pamiętam to doskonale, naraz 20 koni. Dwór był parterowy ale przestronny, wzniesiony w latach klasycyzmu, ale gankowi dodano później sterczyny neogotyckie (był to styl lubelski, w Lublinie na Krakowskim można dotąd widzieć takie gotyckie ozdoby). Jadało się na starych Ćmielowach malowanych w kwiaty, które odziedziczyłem i których używałem później na najuroczystszych przyjęciach. Biblioteczka była niewielka, ale zawierała ni mniej, ni więcej tylko francuską *Grande Encyclopedie* d'Alemberta i Diderota, w skórze oprawne wielkie tomy, do których nikt już na pewno nie zaglądał. Ogród był staroświecki, lipy w kwadrat, ale lipy bardzo stare. Atrakcją była wielka niedokończona budowla na drugim krańcu ogrodu: zaczęta w XVIII wieku, ale doprowadzona tylko powyżej parteru, a używana teraz jako oranżeria; była rajem dla dzieci i zabawy w chowanego. Drugą atrakcją było miasteczko, zaledwie stawem oddzielone od dworskich zabudowań. Dla dzieci było to coś wymarzonego, a dzieci tych było wiele: moja cioteczna siostra, Maria, przyjeżdżała na lato aż z Kijowa, Jadwinia, córka zaprzyjaźnionego lekarza, przychodziła z miasteczka na zabawę, z sąsiedztwa przyjeżdżali rówieśnicy chłopcy i dziewczynki spokrewnieni czy zaprzyjaźnieni. Było to życie jak z Bibliothèque rose i z powieści hrabiny de Ségur.

Gospodarstwo szło źle, ale szło. Przy stole słyszałem wyrazy, których nie rozumiałem, jak: „propinacja”, „serwituty”, „subhastacja”, ale które zapamiętałem. Trwało to dziesięć lat, ale rozpadło się ze śmiercią

dziadka. Bełżyce się dla nas skończyły. Zostało nam z nich tylko parę portretów i starych mebli: były u mnie do klęski Warszawy. Niemniej wyniosłem korzyść z tego dziecięcego życia o dwu ośrodkach. Nie znalazłem bowiem niezaspokojonej ciekawości miasta, jaką miewają dzieci wiejskie, ani też tęsknoty do wsi, jaką miewają miejskie — bo znałem jedno i drugie.

10

W mych latach szkolnych — gdy się skończyły Bełżyce — jeździliśmy latem w góry lub nad morze. Jedno i drugie było jednak za granicą: Zakopane w Austrii, Kołobrzeg w Prusach. W obu wypadkach potrzebny był paszport, był jednak osiągalny bez większych trudności. Bywały trudności z dostaniem się do Zakopanego: od Chabówki trzeba było jechać góralską furą. Do Kołobrzegu jechało się całym domem, z boną i kucharką; raz okazało się, że bona francuska ma paszport nie w porządku i trzeba było 24 godziny czekać na granicy w Aleksandrowie.

Wyjazdy te zajmowały zazwyczaj połowę długich wakacji; na drugą połowę jechaliśmy na wieś: po upadku Bełżyc jeździliśmy do wujostwa do Krzywowoli w Chełmskie. Pobytu te mam bardzo dobrze w pamięci, a także pamiętam, jak podczas nich formowały mi się nowe pojęcia, jak się uczyłem nowych wyrazów i jak sam zaczynałem ich używać.

W Krzywowoli rządcą majątku polubił jedenastoletniego chłopca i wtajemniczał go w arkana gospodarki rolnej. Z tej dziedziny zdobyłem wówczas niemały zapas nazw i pojęć. Jednakże nie tylko z niej. Dwór miejscowy był (to często bywało) rozbudowanym zborom ariańskim, sala sklepiona zboru służyła jako pokój gościnny i myśmy w niej mieszkali: wtedy weszła do mej świadomości nazwa „arianie” i przynajmniej ogólnikowe pojęcie *arian*.

Na ganku siadywał wuj Domaszowski, z zielonym daszkiem przytwierdzonym do czoła przeciw blaskowi słońca, i czytał grubą francuską książkę. Gdyśmy bardzo hałasowali, przechodził z cichego czytania na głośne. Wiedziałem, że gruba książka jest o masonerii i wtedy nazwa „masoneria” wbiła się w mą świadomość: nazwa raczej niż pojęcie; to nastąpiło znacznie później.

Wuj był powstańcem 63 roku, potem emigrantem w Paryżu przez kilkadziesiąt lat, lubił te lata wspominać — dumny, że na obczyźnie dawał sobie radę, zarabiając na życie jako kontroler omnibusów. Od tego czasu weszły do mej świadomości nazwy i pojęcia: *powstańca*, *emigranta* i — *kontrolera*.

Do Krzywowoli często na dłuższe pobyty przyjeżdżał Aleksander Hempel, towarzysz wuja z powstania i przyjaciel. Gdy przyjechał, miał pokój w oficynie, wychodził z niego rzadko, nawet posiłki raczej przynoszono mu do pokoju: nie wypuszczał (byle jakiego) cygara z ust, a nie pozwalał otwierać w pokoju okien; całymi dniami grywał w winta z „trzema dziadami”. Mówiono o nim — słusznie — że jest oryginalnym i ten wyraz wszedł wtedy do mej świadomości, a wyobrażenie oryginalna sprzegło się z postacią starego Hempela.

Miałem już wtedy swoją funkcję, swój dziecięcy obowiązek: jeździć konno do Rejowca po pocztę. Tak weszła do mego życia nazwa i pojęcie *obowiązku*. Nie był to wielki wyczyn, bo do Rejowca była niespełna mila, ale ja początkowo miałem jeszcze niespełna 11 lat.

W niedzielę przyjeżdżali na winta doktor Karpiński z Rejowca i sąsiad, pan Przanowski z Krasnego, ale na co dzień wuj nie miał partnerów; więc mię nauczył i grywaliśmy z dwoma „dziadami”. Nie bardzo miałem ochotę na te siedzące czynności, ale wytłumaczono mi, że to dla mnie zaszczyt. Odtąd wyraz i pojęcie z a s z c z y t u weszły do inwentarza mych wyrazów i pojęć.

Sądzę, że przy pewnym wysiłku pamięci zdołałbym wykryć początek innych wyrazów i pojęć, jakimi się posługuję. Niektóre przyszły później, a nawet bardzo późno, uzupełniając albo wypierając inne. Ale niech te przykłady krzywowlskie wystarczą.

11

Jest wiele szczególnych zjawisk pamięci:

1. Zjawisko, które można by nazwać zjawiskiem sprasowania wspomnień w pamięci, polega na tym: okresy życia trwające latami zostają w pamięci jak dwuwymiarowy obraz, bez wymiaru trwania. Przeszłość, jak pod prasą, zbiła się w ten jeden obraz. Tak jest z pamiętaniem mieszkań, w których mieszkałem latami, z pamiętaniem szkoły, do której chodziłem przez lata: na ogół został jeden obraz mieszkania, jeden obraz szkoły.

2. Zjawisko przypadkowości: trudno wytłumaczalne jest, dlaczego w pamięci został właśnie ten obraz, a nie inny. Doniosłość chwili nie tłumaczy. Ze śmierci mego ojca, która nastąpiła, gdy miałem 16 lat, pamiętam wszakże tylko chwilę, gdy mię matka obudziła, że ojciec umiera; z dalszych chwil, w szczególności z pogrzebu, nie został żaden obraz.

3. Zjawisko zbitki: ten obraz, który pozostał, został uformowany w mej pamięci, sklejony z wielu obrazów przeżywanym w ciągu dni, miesięcy, lat. Jest prawdopodobne, że obraz ten nie odpowiada dokładnie żadnemu momentowi mej przeszłości, będąc zbitką wielu.

4. Zjawisko abstrakcyjności: obraz, jaki się zachował, nigdy prawie nie jest obrazem wypełnionym, jest raczej fragmentem obrazu o niejasnych granicach i pustych miejscach.

5. Zjawisko pośredniości. Jeżeli z mieszkania na Krakowskim Przedmieściu zachowałem wspomnienie głównie jednego pokoju, i to z określonego punktu widzenia, to na pewno dlatego, że miałem fotografię właśnie z tego punktu widzenia, którą później nieraz widywałem. Ten zatrzymany, wykrojony obraz pamięć zachowuje łatwiej niż rzeczywistość, która się zmieniała z każdym moim ruchem. Można rzec: pamiętam nie tyle mieszkanie, w którym przebywałem i na które patrzyłem latami, ile — jego fotografię.

6. Zjawisko przewagi wspomnień dziecięcych. Wczesny krótki okres życia zostawił stosunkowo więcej wyraźnych wspomnień niż okresy późniejsze, dojrzałe, trwające całe lata. Wydaje się, że przyczyną tego jest właśnie długotrwałość i mnogość późniejszych przeżyć i wrażeń, zespalających się i mieszkających ze sobą.

7. Zjawisko przewagi wspomnień niecodziennych. Podróże pamiętamy znacznie lepiej niż życie domowe. To jedna z cech codzienności: że się ją zapomina. Hotel, w którym przez jedną dobę mieszkałem przejazdem przez Wiedeń czy Florencję, pamiętam nie gorzej niż mieszkanie, jakie wówczas latami zajmowałem w Warszawie.

Przykładem sprasowania i przypadkowości zachowanych wspomnień są me wspomnienia szkolne. Chodziłem do V Gimnazjum, które mieściło się na rogu Marszałkowskiej i Piękną, w zwykłej kamienicy, z mieszkalnej przerobionej na szkołę, ciemnej i niewygodnej.

Chodziłem przez 7 lat, a w pamięci zachowałem zaledwie parę obrazów: jednym jest obraz klasy, ciasnego pokoju z ławkami i tablicą, kilkunastu kolegami; innym jest obraz korytarza podczas pauzy. Wyraźnie pamiętam drogę do szkoły: z Krakowskiego na Piękną jechało się tramwajem, naturalnie konnym. Ale tak było tylko cztery razy w tygodniu, a dwa razy były lekcje polskiego o 8 rano: były to lekcje nieobowiązkujące i odbywające się poza normalnym rozkładem godzin. Tramwaje zaś zaczynały kursować dopiero o 8 rano. W te dni przechodził po mnie mieszkający w pobliżu kolega i na spółkę braliśmy za 20 kopiejek dorożkę na Piękną.

Gdy się zastanowię i skupię, obraz pamięciowy szkoły rozdwa się: wtedy inaczej widzę w pamięci klasy niższe, a inaczej wyższe. Przełom umysłowy dokonał się nie wtedy, gdy szedłem do szkoły, lecz w kilka lat później. Dzisiejsze szkolnictwo liczy się z tym przełomem oddzielając liceum od szkoły podstawowej; wówczas były to tylko „wyższe” klasy tego samego gimnazjum. Wtedy w tych wyższych klasach już uformowały się przyjacielskie grupy: wtedy już „pod ławką” czytywałem powieści (nie bardzo dziś już rozumiejąc, jak to było możliwe). Wtedy we czterech kupiliśmy sobie podręcznik gry w winta, kosztował 60 kopiejek, po 15 na każdego. Pamiętam też jak w ósmej klasie przygotowywaliśmy się wspólnie do matury: odbywało się to w mieszkaniu Eugeniusza Minkowskiego, później znakomitego paryskiego lekarza i filozofa. Natomiast — rzecz szczególna — samej matury już nie pamiętam. Szczególne jest też, że we wspomnieniu przejście ze szkoły średniej do wyższej było zdarzeniem mniej doniosłym niż przejście z klas niższych do wyższych. Kolegami moimi szkolnymi — poza Minkowskim, prymusem — byli też: Kazimierz Sosnkowski, późniejszy generał, bracia Kowalewscy, znani sportsmeni i wzory elegancji, Ryszard Chełmicki, słynny warszawski wodzirej, Czesław Poznański, adwokat i krytyk artystyczny, Kazimierz Oczesalski i Arkadiusz Fortkiewicz, obaj uzdolnieni lekarze, bardzo wcześniej zmarli, Michał Czarnota-Bojarski, późniejszy pracownik MSZ.

Skape też zostały wspomnienia ze studiów w Uniwersytecie Warszawskim. Trwały dla mnie tylko półtora roku i został z nich jedynie ogólnikowy obraz rzadko oglądanej sali wykładowej i drugi obraz: zebrania Bratniej Pomocy.

Za to więc, po którym Uniwersytet został zamknięty, pamiętam wyraźnie i ze szczegółami. Tajne wykłady Mahrburga choć każdy odbywał się w innym mieszkaniu, zbiły mi się w jeden obraz. Natomiast wyraźnie pamiętam wykład S. Brzozowskiego; był to jedyny jego wykład, bo prelegent zachorował czy wyjechał — dość że wykłady przerwał.

Z lat zurychskich, berlińskich, marburskich pamiętam znacznie więcej, zachowałem więcej żywych obrazów, jednakże i tu nie obchodzi się bez pamięciowych zbitków.

Stoi przed oczami codzienny, typowy dzień, co najwyżej wiązka jego odmian — pokój studencki, droga do Uniwersytetu, w Berlinie teatry, w Marburgu — stare ulice miasta i las, do którego chodziłem prawie codziennie.

Natomiast żywo i wielorako przeżywam jeszcze po tylu latach niecodzienne dni młodości. W pewnym sensie niecodziennymi były całe studia za granicą, skoro były poza domem, poza krajem. A tym bardziej podróże: miałem do szczęścia, że jako młody, chłonny chłopiec mogłem wiele jeździć po Szwajcarii, Niemczech, Włoszech, bywać we Francji, Anglii, Holandii, Belgii. Dziś wiem, że to było szczęście młodości i chyba wiedziałem to już wówczas, gdy przeżywałem te dni niecodzienne.

Francuski autor — Jean d'Ormesson — opisał to szczęście młodości, jakiego doznawali wraz z bratem, młodzi, niezależni, niczym niezwiązani, każdego dnia mogący być gdzie indziej, przeżywać nowy świat, nowe szczęście. „Nie mieliśmy nic — ani urzędów, ani odpowiedzialności, ani nawet planów. Mieliśmy czas do stracenia: był to czas zyskany... Ustrzegł nas od wszystkich tych namiętności, które mają zapewne też wartość, ale które nie pozwalają oddać się bez reszty urokom istnienia: nie wiedzieliśmy, co to zachłanność, zazdrość, skąpstwo, ambicja. Nasze gody ze światem były dlatego tak radosne, że nie mieliśmy żadnego wyobrażenia, jaka będzie nasza przyszłość ludzi dojrzałych”.

Czytam te słowa z przejściem, bo i ze mną przed laty tak było: życie bez ambicji i wyobrażenia, jaka będzie przyszłość.

Życie bez ambicji i projektów życiowych, a przy tym na obczyźnie, bez krzyżowania się interesów, miało tę dobrą stronę, że nie dawało powodów do zazdrości i do rywalizacji, zatargów; do nikogo nie mogłem mieć i nie miałem o nic pretensji, wytwarzało to naturalną zyczliwość dla ludzi, a za zyczliwość jednak najczęściej otrzymuje się zyczliwość. Gdy po trzech latach opuściłem mój marburski pokój, gospodyni pochwaliła mię, że przez te lata nigdy o nikim nie powiedziałem złego słowa: to była największa pochwała, jaką otrzymałem w życiu. Boję się tylko, czy i w późniejszym, bardziej skomplikowanym życiu, jeszcze bym na nią zasłużył. Wtedy w młodości zachodził ten szczęśliwy stan rzeczy, że bez żadnej zasługi, dary losu i dobroć ludzi były mi *gratis datae*.

Nie ja kierowałem warunkami życia, lecz warunki mną kierowały, i to okazało się korzystne. Niczego szczególnego się nie spodziewałem, na wiele różnych losów byłem gotów się zgodzić.

Nie mając planów, niczego od ludzi i losu nie oczekiwałem, i to było źródłem spokoju, a spokój — zadowolenia. Dziś, gdy to wszystko dawno minęło, nie mam wątpliwości, że to było na swój sposób dobre.

A inna rzecz — czy miałem tę tryskającą radość życia, która niektórym tylko jest dana. I gdy po latach pisałem o szczęściu, to określałem je z własnego doświadczenia jako zadowolenie z życia raczej niż jako radość życia. Ten stan ludzi, żyjących w upojeniu jest może wyższy niż żyjących w ukojeniu, po prostu radośniejszy, ale zależy od natury człowieka, nie każdemu jest dostępny.

*

W 1901 r. Domaszowscy oddali Krzywowolę synowi, sami zaś kupili willę w Nałęczowie i tam się przenieśli. Wtedy zaczęły się me wieloletnie nałęczowskie wakacje. Nie zaimponowałyby dzisiejszej młodzieży, przywykłej do zabaw, prywatek, swobody; wtedy były czymś niezwykłym dla szybko zgranego ze sobą grona młodzieży: *les jeunes filles en fleur*, tańce, sporty, wycieczki. Panny Zaorskie przyjeżdżały z Zamojszczyzny konno i przyprowadzały jeszcze dwa konie wierzchowce luzem, ja miałem swojego — i tak w pięć koni jeździliśmy po pięknej okolicy, jeszcze mam w uszach chór: „To rozkosz jedyna...”

A zarazem było też i coś innego: tam poznałem Prusa i Żeromskiego. Z wieczoru autorskiego została fotografia, na której miałem szczęście znaleźć się obok Żeromskiego, Matuszewskiego, Nałkowskiej, Nowaczyńskiego. Na wieczorze tym czytałem swój wiersz, bo nic innego wtedy jeszcze nie miałem, a i ten był byle jaki.

Z tych czasów pochodzą me 75 lat już trwające przyjacielskie stosunki z wielką nałęczowską rodziną Nagórskich, a w szczególności z Adamem, późniejszym doradcą prawnym wszystkich ambasad.

14

Do kraju wróciłem w roku 1913: przygotowany do pracy, z dyplomem, ale bez programu. Mogło z tego wyjść — z tego przygotowania — wszystko i nic; ale prawdopodobieństwo było, że wyjdzie niewiele. Bo co mogło wyjść w środowisku bez szkolnictwa wyższego. Nie niepokoiłem się jednak, bo miałem (a raczej zdawało mi się, że mam) wystarczające środki do życia.

W Warszawie życie filozoficzne było skupione dokoła Władysława Weryhy. Znałem niemało ludzi dobrych i życzliwych, ale nie znałem lepszego i życzliwszego niż on. Zajął się młodym chłopcem, mogłem drukować w jego piśmie. W drukach tych zreferowałem to, czego nauczyłem się na Zachodzie: poglądy marburskie i poglądy fenomenologów. To było nowe, mogło zainteresować czytelników. Ale co dalej?

Więcej tematów podsuwała sztuka. W domu mieliśmy rękopiśmienny pamiętnik dziadka — rzeźbiarza. Napisałem i ogłosiłem jego życiorys. Poza tym chodziłem do Muzeum w Warszawie; było jeszcze niewielkie, mieściło się w prywatnym mieszkaniu na placu Teatralnym. Pamiętając muzea zachodnie, zauważyłem, że atrybucje niektórych obrazów są mylne, a w każdym razie wątpliwe. W dużym artykule ogłoszonym w zagranicznym piśmie fachowym, opisałem — już w 1910 r. — zbiory warszawskie i próbowałem korygować atrybucje. Tematy te, jak to się mówi, leżały na ziemi, trzeba się tylko było po nie schylić. Inny, większy temat — również z historii sztuki — podsunęli koledzy

Lwowscy historycy sztuki, z którymi zaprzyjaźniłem się w roku 1910, podjęli pod redakcją Tadeusza Piniego, duże wydawnictwo: *Historia malarstwa polskiego* i zaproponowali mi opracowanie dziejów nowych XIX wieku. Zacząłem zbierać materiały, bo sztuka polska była dla mnie nowym tematem, znałem raczej z muzeów sztukę obcą.

W tym samym czasie znajomy mój, historyk Franciszek Pułaski, poradził mi, bym pojechał do Petersburga, są tam wywiezione po roku 1831 zbiory graficzne Stanisława Augusta i jego korespondencja z ar-

tystami; dał mi listy polecające do dyrektorów i akademików. Pojechałem w maju 1913 r. i znalazłem dokumenty nieznane, a ponad wszelkie oczekiwanie cenne. Zaraz po powrocie zdałem z nich sprawę na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Projekty lwowskie przekreśliła wojna, natomiast z materiałów petersburskich korzystałem całe życie.

Zaprzyjaźniłem się też w owych latach ze Stanisławem Michalskim, zasłużonym wydawcą *Poradnika dla samouków*: do obmyślanej przez się serii potrzebował rozprawy o *Rozwoju sztuki*; namówił mnie, napisałem, wydał ją już w roku 1913; niektórzy czytelnicy uważali, że było w tym nowe spojrzenie na ewolucję sztuki.

Jednym słowem: w mych latach po powrocie tak się złożyło, że sprawy sztuki znalazły się na pierwszym planie; choć w okresie uniwersyteckim zaledwie się do tego przygotowywałem; regularnych uniwersyteckich studiów z historii sztuki nie przeszedłem.

Filozofia stała się natomiast tematem mych wykładów. Szkoły wyższej wówczas w Warszawie nie było, a raczej — nie było dla mężczyzn; natomiast, rzecz szczególna, dla kobiet były nawet dwie: kursy pedagogiczne Miłkowskiego i kursy Katolickiego Związku Kobiet. Ludzi przygotowanych do wykładania filozofii nie było wówczas wielu — i powierzono mi wykłady w obu tych instytucjach. Trzeba tam było rzeczy prostych, logiki z elementami metodologii nauk. Te proste rzeczy odpowiadały mi bardziej niż wielki system marburskiego kantyzmu. I utrzymały mnie przy filozofii w tych latach, kiedy me publikacje miały za temat raczej sztukę i jej historię. W Berlinie, Marburgu czy Paryżu tych prostych rzeczy się nie nauczyłem; raczej nauczyłem się śmiałości, a od czegoś są książki, podręczniki.

Jesienią 1915 r. stało się zaś coś niezwykle ważnego, co przeważało szalę na stronę filozofii. Powstał Uniwersytet Warszawski — i od początku powierzono mi w nim wykłady filozofii. Dla nikogo nie było to większą niespodzianką, niż dla mnie samego. Sądzę, że zadecydowało tu zaufanie jakie miał do mnie Weryho. Tak czy inaczej, byłem pierwszym wykładowcą filozofii w otwartym na nowo Uniwersytecie Warszawskim. W drugim roku akademickim pozyskał on dalszych wykładowców: bardziej ode mnie doświadczonego Jana Łukasiewicza i Ta deusza Kotarbińskiego.

Nowe stanowisko miało dla mnie znaczenie decydujące. Trzeba było przygotować wykłady: historii filozofii oraz ogólnego przeglądu zagadnień filozofii. Trzeba było przerwać, a przynajmniej ograniczyć pracę nad sztuką i jej historią. Myślałem sobie, że dwu dziedzinom nie dam rady. Pamiętam, że napisałem o tym do profesora Jana Bołozza Antoniewicza, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem podczas pobytu we Lwowie. Odpisał, że w to ograniczenie pracy nie wierzy. I miał rację. Zostałem przy dwu zawodach naukowych: to jeden, to drugi brał na przemiań górę. Nie zdaje mi się, by się to dla mych zajęć okazało szkodliwe.

Doświadczyłem wielokrotnie w mym życiu potęgi przypadku. Nieraz mogłem powiedzieć sobie: Jakże łatwo wszystko mogło się być stać zupełnie inaczej niż się stało! Przytoczę tu kardynalny przykład. Lato 1914 obmyśliłem sobie w ten sposób: lipiec na Lido, a sierpień w Za-

kopaniem. Do Zakopanego miałem zaproszenie jako prelegent na letni kurs dla nauczycielstwa.

Na Lido pod koniec lipca można było wśród gości zauważyć zaniepokojenie, wzmożone wyjazdy, ale nie zwracałem na to uwagi. Gdy zbliżał się początek sierpnia i termin zakopiański, wyjechałem z Lido, ale bez pośpiechu i świadomości tego, co się przygotowywało. Dość, że beztrzesko zatrzymałem się po drodze w Karyntii, w Villach, by stamtąd zrobić wycieczkę do Osjaku i zobaczyć płytę grobu Bolesława Śmiałego, który tam także umarł jako zakonnik (płyta jest tym szczególnie, że przedstawia tylko płaskorzeźbionego konia, okulbaczonego, ale bez jeźdźcy). W Villach widziałem odjeżdżając oddziały wojska, ale i tym się nie przejąłem. Lęk poczułem dopiero w Wiedniu, widząc popłoch w mieście. I powodowany tym lękiem pojechałem prędzej, niż było potrzebne, na dworzec; pośpiech ten miał daleko idące skutki. W czasach tych podróżowano z dużymi kuframi; musiałem mój kufer oddać „na wagę”. Wyekspediowałem go do Krakowa, przez który była droga do Zakopanego. W przedziale podczas nocnej jazdy niepokój jeszcze się zwiększył: postanowiłem rezygnować z Zakopanego i wracać do domu. Wedle rozkładu, pociąg rozszczepiał się w Szczakowej, część wagonów szła do Krakowa, inne do Warszawy. Był świt, gdyśmy się znaleźli w Szczakowej. Poszedłem do wagonu bagażowego, by odebrać kufer i skierować go do Warszawy. Jednakże — kufra nie było. Okazało się, że w Wiedniu, wiedziony niepokojem, przyjechałem na dworzec za wcześnie i za wcześnie wyekspediowałem kufer, który poszedł wcześniejszym pociągiem do Krakowa. Nie było rady: zdawało się, że nie mogę się rozstać z kufrem, w którym były wszystkie moje rzeczy, wśród nich także tekst wykładów zakopiańskich; wsiadłem z powrotem do pociągu jadącego do Krakowa. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jest to rezygnacja z powrotu do Warszawy; wyobrażałem sobie, że wojna będzie krótko, przeczekał ten czas w Zakopanem. Z tą decyzją dojechałem do Krakowa. Na dworcu były tłumy i zamieszanie niezwykle. Nie było wątpliwości, że do Warszawy już się nie dostanę wobec stanu wojny między obu krajami, ale jakimś sposobem dostanę się do Zakopanego.

Gdy rozmyślałem, jak to zrobić, zobaczyłem w tłumie czy raczej nad tłumem znajomą twarz: był to krewny mój, Antoni Hempel, o głowę przerastający ogół ludzi, dzięki temu mogłem go zobaczyć. Mieszkał w południowej części Królestwa, w majątku Wałowice, i tam jechał. Wiedział, że nie ma już możliwości przejazdu granicy koleją. Ale miał plan: bocznymi torami, które jeszcze były czynne, dostaniemy się do Dębicy i Tarnobrzegu; tam się przeprawimy przez Wisłę i będziemy w Królestwie. Tak też się stało. Przejście granicy nie sprawiło trudności: graniczni urzędnicy, zarówno austriaccy, jak rosyjscy, już opuścili swe posterunki: po prostu przeprawiliśmy się łodzią — i znaleźliśmy się w Cesarstwie Rosyjskim. Pamiętam, że pierwszą noc spędziliśmy w Winiarach, w gościnnym domu pp. Targowskich, a nazajutrz wsiedli na statek wiślany, który mych krewnych dowiózł do Wałowic, a mnie do Warszawy. Ostatecznie wróciłem do niej z Lido wcześniej niż matka moja, która była w Ciechocinku: komunikacja rzeczna uległa mniejszym perturbacjom niż kolejowa.

I teraz myślę sobie nieraz tak: Czysty przypadek, i to mało prawdopodobny, sprawił, że wróciłem wtedy — w roku 1914 — do Warszawy i w niej spędziłem wojnę. Gdyby nie ten przypadek, zostałbym w Ga-

licji, powrót do domu zapewne przez dłuższy czas nie byłby możliwy. A wtedy co by się było stało? Spędziłbym wojnę może w Zakopanem, szukając tam jakichś środków do życia? Czy związałbym się z Legionami? W każdym razie nie byłoby mnie w Warszawie, gdy powstawał uniwersytet i obsadzane były katedry. Jest prawdopodobne, że zmieniloby to całkowicie koleje mego życia: może by nie doszło do uzyskania kiedykolwiek katedry uniwersyteckiej, na miejscu byli wszak inni kandydaci (mój przyjaciel Witold Kamieniecki, historyk, był bezspornym kandydatem na profesora historii w zakładanym na nowo Uniwersytecie Warszawskim, ale był w 1915 r. odcięty od Warszawy frontem — i życie jego potoczyło się torem zupełnie innym, nie akademickim).

Wróciłem więc do Warszawy. Do mieszkania na Wiejskiej 17, które od 1903 r. zajmowała moja matka, a potem mój brat. Stąd wychodziłem na wiec w 1905 r. i na pierwszy wykład uniwersytecki w roku 1915: na te drogi, które zdecydowały o mym życiu. Potem miałem własne mieszkania, ale to na Wiejskiej do wojny, póki żyła ma matka i mój brat, było mym domem rodzinnym.

16

Okresy życia można podzielić na zwyczajne i nadzwyczajne, dając tę ostatnią nazwę tym, co przebiegały w warunkach lub przynajmniej w miejscu innym niż okresy pozostałe. Wtedy po powrocie z Lido, w sierpniu 1914, zaczęła się dla mnie seria okresów nadzwyczajnych. Pierwszy był nadzwyczajny dla wszystkich Polaków, gdyż był okresem Wojny Światowej; następne zaś były nadzwyczajne dla mnie, bo spędziłem je poza moją Warszawą.

Lata wojny zostały w pamięci w jasnej barwie — wedle zasady: *tout est bien qui finit bien*. Ale jeśli tę pamięć przetrząsnąć, to wyłaniają się z niej nie tylko nadzieje i radości, ale też niepokoje i zawody. Co prawda Niemcy nie byli wówczas jeszcze tacy, jak za czasów Hitlera: mój kolega marburski, gdy jako oficer przejeżdżał przez Warszawę, napisał najpierw do mnie, czy w ogóle może mię odwiedzić, a potem gdy przyszedł, to przyszedł po cywilnemu.

Poruszanie się po kraju było ograniczone, więc też wakacje i cały czas wolny spędziliśmy w pobliżu Warszawy, w majątku Parzniew, którym administrowali moi krewni Bacciarellowie; był tam jeszcze koń pod wierzch i w ogóle niczego nie brakło.

Przyjaźniłem się w owe lata wojny z Bohdanem Straszewiczem, który odziedziczył po ojcu i wydawał „Kurier Polski”. Pisałem od czasu do czasu artykuły wstępne do jego pisma. W redakcji spotykała się grupa bliskich i miłych znajomych: pamiętam szczególnie doktora Jerzego Rogozińskiego i Leona Chrzanowskiego. Gdy już pod koniec wojny Piłsudski przebywał pod Warszawą, całe nasze grono wybrało się do niego: był to jedyny raz, gdy rozmawiałem z marszałkiem; wszakże z rozmowy nie zapamiętałem ani słowa. Straszewicz zginął jako ochotnik w 1920 r. pod Radzyminem, i cała ta grupa redakcyjna rozsypała się. Do innej już nigdy potem nie wszedłem.

Były to wielkie lata Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Siedziba jego na Starym Mieście, dom Baryczków, była pięknie odnowiona. Raz na tydzień odbywały się tam zebrania Wydziału Konserwatorskiego, brali w nim udział przede wszystkim architekci, także

starsi: Władysław Marconi, Józef Dziekoński, Jarosław Wojciechowski i młodzi: Juliusz Kłos, Świerczewski, Tołwiński, Lisowski, Gutt, rysownik Zygmunt Kamiński, historycy sztuki, Lauterbach, Husarski. Państwowej opieki nad zabytkami nie było, było tylko to Towarzystwo Opieki, ale ileż ono robiło, ileż rewelacji przynoszono na każde zebranie. Sekretarzem był bardzo zasłużony Kazimierz Broniewski, potem Władysław Kłyszewski. Z materiałów Towarzystwa Stanisław Łoza zestawił swój niezastąpiony *Słownik architektów*.

Przed samą wojną było wielkie poruszenie wśród miłośników zabytków: w prezbiterium katedry sandomierskiej spadł obraz i — okazało się, że pod obrazami są średniowieczne freski; zorganizowano niezwłocznie zjazd zainteresowanych, byłem delegatem Warszawskiego Towarzystwa; delegaci krakowscy mieli względnie bliskie połączenia, ale warszawscy od Skarżyska musieli jechać końmi, innego połączenia Warszawy z Sandomierzem (poza rzečním) wówczas nie było.

*

Te sprawy zeszyły dla mnie na drugi plan od otwarcia Uniwersytetu. Pamiętam, jak by to było wczoraj, ten dzień 15 listopada, kiedy z Wiejskiej szedłem na Krakowskie. Ten pierwszy wykład, jak i następne, odbywał się w głównym gmachu na I piętrze. Seminarium zaś filozoficzne znalazło swe pomieszczenie w gmachu porektorskim na I piętrze. Od razu uformowało się studenckie Koło Filozoficzne. Jego pierwszą przewodniczącą była Maria Niedźwiecka; nie żyje, tak samo jak jej późniejszy mąż — Stanisław Ossowski, jak Mieczysław Wallis, jak Rafał Blüth; przeżyłem to pierwsze studenckie grono, nie tylko pierwsze, ale wyjątkowe.

Gmach główny uniwersytetu, ten w którym miewałem wykłady, zniszczony podczas II Wojny, odbudowany został i istnieje nadal, jednakże z nieco zmienionym wnętrzem; ale otoczenie jego zostało po 60 latach bez zmiany; także ten zaciszny taras za gmachem głównym z widokiem na Wisłę; także ten gmach porektorski z dawnym moim gabinetem. To podwórze, ten pokój — to było miejsce najbardziej moje na świecie, codzienne, moje bardziej jeszcze niż własny pokój we własnym mieszkaniu. Było w środku Warszawy, ale sielskie, za oknem rosły piękne drzewa uniwersyteckiego dziedzińca.

Tak było do sierpnia 1939. Wróciłem tam wiosną 1945. Gmach porektorski wyjątkowo przetrwał, a dawny gabinet stał się dla mnie sypialnią, bo własnego mieszkania już nie było. Trwało to przez 3 lata.

Gdy w 1956 r. wróciłem do Wszechnicy, wszystko już było przemienione. Dawny zakład filozofii został oddany innemu zakładowi, a zakład filozofii znalazł się po drugiej stronie Krakowskiego. Od 1948 r. nie byłem już w moim dawnym gabinecie, jednak ilekroć przechodzę obok — to ze szczególnym uczuciem: to moja przeszłość.

Po tym wypadzie w dzisiejsze czasy należy wrócić do roku 1919, gdy skończyła się wojna i zaczęła Polska niepodległa.

Tak się w moim życiu składało, że pewne daty, które były ważne, były ważne podwójnie i potrójnie. Rok 1919 był nie tylko przejściem Polski od niewoli do niepodległości, był też dla mnie przejściem od

egzystencji w jednej osobie do egzystencji w dwu osobach. Mówiąc po prostu: był rokiem mego ślubu. Czy było to wydarzenie ważne? Aż tak ważne, że przysłoniło to, co było przedtem, do tego stopnia, że sprawia mi już trudność wyraźne przedstawienie sobie, jaka to była ta dawniejsza egzystencja w jednej osobie.

Wiem, że wszystkie walory egzystencji w dwu osobach nie tylko giną, ale przemieniają w klęskę, gdy te dwie osoby są w niezgodzie: na szczęście wiem to tylko ze słyszenia, z czytanych powieści i oglądanych filmów.

Potem w życiu bywają inne jeszcze doniosłe momenty, gdy egzystencja rodziny o jednym pokoleniu przechodzi w egzystencję w dwu i trzech pokoleniach. Ale ten przełom jest mniej zauważalny, bo dzieci i wnuki wyrastają stopniowo, i ma swą wcześniejszą zapowiedź: bo każdy jako dziecko i wyrostek miał już poniekąd egzystencję w dwu pokoleniach: egzystencję wspólną z rodzicami, a zwłaszcza matką.

Od roku 1919 życie moje było już życiem naszym, nie było mojego mieszkania, lecz nasze mieszkanie, tylko wyjątkowo była podróż moja, a nie nasza, prawie nie było radości i trosk, które by nie były naszymi radościami i troskami.

Od owego roku 1919 zmieniło się poniekąd także me miejsce na ziemi. Żona moja była z Podlasia, nowe miejsce nazywało się Radoryż; tam normalnie było nasze lato, podczas gdy zima — w Wilnie, Poznaniu, Warszawie. Jak w dzieciństwie między Warszawą a Lubelskiem, tak teraz przez ćwierć wieku życie było rozpięte między miastem a Podlasiem.

18

Okres Wileński trwał od 1919 do 1921: dwa lata. Zaczął się wspa-
niałym otwarciem uniwersytetu, uroczystym pochodem przez miasto. Wilno nie zapomniało swej tradycji, a że blisko przez 100 lat było pozbawione szkoły wyższej, tym bardziej umiało ją cenić. Na katedrach znalazło się niewielu ludzi miejscowych: niewielu, ale tak znakomitych jak Ferdynand Ruszczyk, dziekan Wydziału Sztuk Pięknych, jak Marian Zdziechowski, Stanisław Kościałkowski, Marian Massonius. Wielu było wielkich krakowian: rektor Michał Siedlecki czy ks. Kazimierz Zimmermann; Wincenty Lutosławski był raczej *turbator chori*. Mieszkaliśmy wszyscy blisko siebie, trzymali razem, więcej niż w jakimkolwiek innym uniwersytecie. Po pół wieku nie zapomniałem zebrań koleżeńskich czy wspólnych wycieczek w Góry Ponarskie.

Mieszkaliśmy z żoną najpierw w pensjonacie naprzeciw kościoła św. Katarzyny, potem na Antokolu, aż wylądowaliśmy na dłużej w samym gmachu Uniwersytetu przy kościele św. Jana, w jednej z dawnych cel jezuickich, w najpiękniejszym, najbardziej uroczym miejscu miasta.

Asystentem katedry był Benedykt Woyczyński; dawno już nie żyje; wdowa po nim wstąpiła do klasztoru franciszkanek i przez wiele lat jako matka Benedykta była przełożoną Lasek; dziś i ona nie żyje. Z dawnych słuchaczy widuję tylko panią Znamierowską-Prüfferową, która jest emerytowanym profesorem w Toruniu. Najbardziej malowniczym studentem był niemłody już ks. Eydziatowicz, proboszcz w Trynopolu pod Wilnem, który po spełnieniu rano swych obowiązków duszpasterskich, zakasawszy sutannę, przychodził na piechotę na wykłady.

Wykładałem, a moja żona pracowała jako wolontariuszka w uniwersyteckiej bibliotece. Książek nie było wiele, ale były rękopisy i zrobiliśmy we dwoje katalog blisko pół tysiąca rękopisów filozoficznych, przeważnie skryptów odziedziczonych po dawnych klasztornych kolegiach; a na ich podstawie napisałem dla Akademii Umiejętności rzecz o „scholastyce wileńskiej”. Nasz katalog przechował się, wiem że jest nadal w bibliotece Uniwersytetu.

Życie było swobodne i sielskie, robiliśmy wycieczki Wilią do Trynopolu i Werek; seminaria ze studentami odbywałem za miastem czy na cmentarzu w Rossie. Gorzej było tylko, gdy trzeba było jeździć do Warszawy: most na Niemnie pod Grodnem ugiął się i chwiały pod pociągiem, potem zaniechano tego połączenia, jechało się okólną drogą przez Lidę — dłużej niż dobę. Gdyśmy na Boże Narodzenie 1919 wybierali się do Warszawy, wypadło trzykrotnie jeździć na dworzec i pchać się bezskutecznie do przepełnionego pociągu, zanim się wreszcie dostali.

Wiosną 1920 wiedzieliśmy o niedalekich walkach, ale nie zdawali sobie sprawy z tego, że są one tak blisko, i nagle, prawie w popłochu opuściliśmy Wilno, dotarli do Warszawy.

19

Dwa lata poznańskie niezmiernie różniły się od wileńskich. Był to jedyny okres w moim życiu, gdy miałem katedrę nie filozofii, lecz historii sztuki; a stąd wynikały szczególne obowiązki, potrzebne były nie tylko książki, ale też przezroczka, a także wycieczki na prowincję, dla oglądania ze słuchaczami zabytków.

Nowy zawód zbliżył mnie do drugiego profesora historii sztuki — Szczęsnego Detloffa i do Jana Stanisława Bystronia. Także do artystów-plastyków: szczególnie utkwiły mi w pamięci dobre stosunki z Jagminem i Roguskim. Ale byli też bliscy koledzy filozofowie: stary przyjaciel warszawski Florian Znaniński, Adam Żółtowski, Michał Sobeski; natomiast za droгим Czesławem Znamierowskim minęliśmy się; objął katedrę w Poznaniu dokładnie wtedy, gdy ja już moją poznańską opuszczałem.

Jeśli chodzi o nastrój miasta, stosunki międzyludzkie, tryb życia, poziom zamożności, to Poznań był przeciwieństwem Wilna: o tyle mniej poezji, o ile więcej dobrobytu. Znacznie też więcej było powiązania z wsią: gościnne domy w Komorzu, Kórniku, Goli, Kopaszewie zostały mi dotąd w pamięci.

Z mieszkaniem były początkowo trudności i Florianowie Znanińscy podzielili się z nami swoim, ale potem znalazło się spore w centrum miasta, i mogliśmy sprowadzić z Warszawy znaczną część naszych mebli, obrazów, książek, żyć normalnie, przyjmować gości. Życie towarzyskie i umysłowe kwitło. Czwartkowe zebrania u rektora Święcickiego były czymś w naszych czasach naprawdę niepowtarzalnym.

Centralny — jeśli tak rzecz można — towarzyski dom ks. Zdzisławowej Czartoryskiej był miły i gościnny, ale raczej zwyczajny. Nadzwyczajne były — już ze względu na same gospodynie — domy Józefowej Kościelskiej i Witoldowej Korytowskiej. Ich mężowie, a poniekąd one same odgrywały niegdyś niemałą rolę, pierwsza na dworze pruskim, druga na wiedeńskim. Gdy zwłaszcza były razem i opowia-

dały o dawnych latach, to kawał doniosłej przeszłości stawał przed oczami.

Uniwersytet był w Poznaniu nowością i jakby modą, na wykłady historii sztuki i filozofii uczęszczały też panie i panny ze znanych domów: „księżna niezłomna”, dziś tak słusznie szanowana, chodziła też na wykłady, jeszcze wówczas niezamężna, ale chodziła nie sama, lecz z damą do towarzystwa: takie to były jeszcze czasy.

Niezapomniany, po pół wieku, został dzień w Kórniku: zaproszeni przez Władysława Zamoyskiego zwiedzaliśmy pałac i zbiory, potem była kolacja, wreszcie czas wracać do Poznania. W Kórniku odległość od pałacu do dworca jest mała, a zwłaszcza była nią dla ludzi młodych, jakimi byliśmy wówczas; było naturalne, że ją przejdziemy na piechotę, ale pan domu nie chciał o tym słyszeć; ponieważ była niedziela i stangret miał wolne, sam zaprzągnął wolań, sam siadł na kozioł i zawiózł nas na stację. Zaczął już wtedy ósmy dziesiątek lat życia. Takie to były wówczas obyczaje i gościnność.

20

Jesienią 1923 roku wróciłem do Warszawy na katedrę filozofii. I zaczął się wtedy nowy warszawski okres mego życia. W myśl wyżej podanego określenia, był okresem zwyczajnym, bo przebiegał w mojej Warszawie, w moim warszawskim uniwersytecie, w moim głównym zawodzie: a był zwyczajny jeszcze i w tym sensie, że względnie długotrwały, nie tak przejściowy jak okresy wileński i poznański. Trwał 16 lat, do wybuchu II wojny we wrześniu 1939.

Odczuwam okres ten jako główny okres mego życia. W tym sensie, że był środkowy, już dojrzały, a jeszcze nie emerytalny; ale także w tym, że wtedy osiągnąłem to, do czego mógł pretendować człowiek mego zawodu. Tadeusz Sinko mawiał, że człowiek nauki czuje się całkowicie spokojny, gdy został profesorem zwyczajnym i członkiem Akademii. Profesorem zwyczajnym zostałem w roku 1927, a członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w 1930. O parę lat wcześniej byłem już członkiem naczelnej stołecznej instytucji naukowej, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a nawet sekretarzem jej historyczno-filozoficznego wydziału.

Warunki w tym nowym okresie okazały się korzystne. W UW były tylko trzy katedry filozofii, które obsługiwały całą wszechnicę. Więc też wykłady miały wielu słuchaczy, mieściła ich jedynie wielka aula. Miało to tę dobrą stronę, że nauczyłem się starannie przygotowywać wykłady i mówić głośno. I choć nie mam żadnych warunków na mównicę, nauczyłem się mówić do dużego audytorium. Tematy z historii filozofii, etyki czy estetyki są wdzięcznymi tematami dla prelegenta, a to, że mam upodobanie do przejrzystego członkowania materiału, pomagało zapewne słuchaczom, a na pewno pomagało prelegentowi.

Było w owych czasach wiele okazji do wyjazdów za granicę. Zaczęły się już mnożyć kongresy. Profesor warszawski, będący na miejscu w pobliżu ministerstwa, miał naturalnie pierwszeństwo przy wyborze delegatów. Kotarbiński nie dbał wówczas o wyjazdy, jeździłem więc ja na międzynarodowe kongresy filozoficzne. A także na kongresy historii sztuki, bo Batowski jeszcze mniej lubił wyjeżdżać.

W latach trzydziestych uformowały się stałe międzynarodowe organizacje: filozoficzna (Międzynarodowy Instytut Filozofii, IIP) i historii sztuki (Komitet Międzynarodowy Historii Sztuki CIHA). Tak się złożyło, że do obu wszedłem jako pierwszy polski człowiek. A także do FISP, czyli Międzynarodowej Federacji Towarzystw Filozoficznych. A po wojnie też do Międzynarodowego Komitetu Estetyków, gdy się ten uformował. Miałem referat już na Międzynarodowym Kongresie Estetyków w Paryżu w 1937 r. i na wszystkich powojennych: Wenecja 1956, Ateny 1960, Amsterdam 1964, Uppsala 1968, Bukareszt 1972. Po wojnie stałem się też jako delegat PAN, członkiem Unii Międzynarodowej Akademii Nauk (UAI). To wszystko dawało sposobność poznania ogromnej ilości mych zagranicznych kolegów, bez mała wszystkich wybitnych filozofów, historyków sztuki, estetyków.

Dla porządku zaznaczę, gdzieśmy w Warszawie mieszkali w latach 1923—1944. W roku 1919, po ślubie wynająłem od Or-Ota, który był moim starym znajomym, mieszkanie parterowe w jego domu na Kanonii. Jednakże — zanim zdążyliśmy się wprowadzić, zajął je ktoś obcy: takie to już były czasy. Straciłem wtedy jedyną okazję mieszkania na Starym Mieście. A i o inne mieszkanie przez dłuższy czas było trudno. Ale w 1923 r. znaleźliśmy je, najpierw przy ul. Górskiego 1 — wygodnie, bo centralnie — z wszystkimi zaletami i wadami parterowego mieszkania. Od początku 1930 r. zamieniliśmy je na większe, położone wyżej, na rogu Jasnej i Boduena, bodaj najładniejsze z tych, jakieśmy w życiu mieli, zarówno przyjemne na co dzień, jak odpowiednie na przyjmowanie gości. Zamieniliśmy je jednak na inne, podobne, przy ul. Marszałkowskiej 25, a potem na jednorodzinny dom przy ul. Prezydenckiej 4, gdzieśmy przetrwali wojnę: usunięci zostaliśmy z domu, i dom został spalony 12 września 1944 roku.

W tym głównym okresie życie było gęsto wypełnione. Cztery dni tygodnia były oddane Uniwersytetowi. O godzinie 10 miałem wykład. W sali profesorskiej głównego gmachu na koniec kwadransa akademickiego czekał zazwyczaj wraz ze mną ekonomista Kostanecki, teolog Bursche i wielki aktor Frenkiel, który miał ze studentami ćwiczenia wymowy. Wykłady z filozofii miały tak licznych słuchaczy, że odbywały się w auli; tak duża frekwencja tłumaczy się także tym, że w latach dwudziestych nie było jeszcze podręczników. Po wykładzie profesor przyjmował słuchaczy, a potem sam siebie douczał w bibliotece. Koło południa liczni koledzy, ze Stefanem Czarnowskim na czele, zbierali się naprzeciw, u Loursa, ale bywałem tam dość rzadkim gościem.

Z popołudni i wieczorów tylko jedno lub dwa spędzało się w uniwersytecie: były przeznaczone na seminaria i Radę Wydziału. Ale ileż było innych zajęć: posiedzenia Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Filozoficznego. A do tego życie towarzyskie: nie żałowałem na nie czasu i myślę, że słusznie. Bywały piękne bale w karnawale, kiedy indziej rauty, w Warszawie i w pobliżu, w Królikarni i Wilanowie, w domach polskich i ambasadach. Z tych francuska trzymała prym za Laroche'ów (jeszcze w dawnym pałacyku Wernickich w Alejach Ujazdowskich) i za Noëlów (już w innej ambasadzie, na Frascati). Nawiązywały się z cudzoziemcami długotrwałe nieraz przyjaźnie: jeszcze teraz, po półwieku koresponduję z Ellen Ankarsvärd, córką ówczesnego ministra pełnomocnego Szwecji, która nauczyła się polskiego i uczęszczała na wykłady uniwersyteckie.

Czasem zastanawiam się, jak i kiedy przy tym trybie życia mogłem przygotowywać wykłady i pisać książki. Generalna odpowiedź jest ta: ludzie bardzo zajęci mają na wszystko czas i nawet mają go więcej od innych, bo czas oszczędzają i dobrze nim gospodarują. Zresztą miałem zawsze dwa dni w tygodniu wolne od zajęć, w których nie wychodziłem z domu i pracowałem.

Drugim przestworzem wolnego czasu były wakacje. Jak wiadomo, w szkołach wyższych są one długie. Znaczną ich część spędzaliśmy na wsi, w owym Radoryżu pod Łukowem, o którym już wspomniałem. Tam przed południem zwykle był pracować w ogrodzie, w półcieniu wielkiego starego ciernia, gdzie stał stolik i ławka: tam powstała duża część tego, co napisałem. Po południu siadałem na konia, i wtedy w samotnej jeździe zbierał się w głowie ten materiał, który następnego przedpołudnia dostawał się pod pióro. Na równinie mazowieckiej te jazdy byłyby mniej pociągające, ale Podlasie jest skromnym, ale pięknym krajem lasów, stawów, niskich wzgórz.

21

Jeździłem od młodu trochę po świecie: jak na dzisiejszą miarę przeciętnie, jak na owe dawne czasy — dużo. Tak było zwłaszcza w tym centralnym, międzywojennym okresie, ale także przedtem i potem: zestawię to pokrótce.

Pierwszą zagraniczną turystyczną podróż odbyłem jeszcze jako wyrostek w XIX wieku, mianowicie do Kopenhagi, gdzie moi rodzice chcieli obejrzeć muzeum Thorvaldsena. Mnie wówczas więcej tam pociągał ogród Tivoli z karuzelami. Jazdy wtedy były jeszcze dość uciążliwe: w Warnemünde czekaliśmy 3 dni, aż morze będzie dość spokojne, by niewielki statek mógł bezpiecznie wyjść z portu.

Jako student robiłem już samodzielne wycieczki: w 1905 r. z Zurichu do Rappersvilu na jakiś obchód polski pod patronatem T. T. Jeża. W tym samym roku odbyłem klasyczne wejście nocą na Righi. Także klasyczną drogą szedłem z Św. Gottarda przez Furka Pass i gleczer Rodanu. W następnych latach, podczas mych studiów w Niemczech, odbywały się coroczne wycieczki na Zielone Świąta: dwukrotnie wtedy jeździłem nad Ren (raz na rowerze), raz do Saskiej Szwajcarii (z Bogdanem Nawroczyńskim), raz do Gór Harzu (z Romanem Dmochowskim). Wtedy wsiałem do innego pociągu niżbym był powinien i zjechałem przypadkiem przez błogosławioną omyłkę do Hildesheimu, jednego z najpiękniejszych miast środkowej Europy.

Pierwszą dużą podróż odbyłem w 1908 r. do Włoch, byłem długo we Florencji, bo tam mi się najbardziej podobało; i dziś po blisko 70 latach widzę siebie młodego chodzącego po tym cudownym świecie — i jego pałace i kościoły widzę takimi, jakimi zobaczyłem wówczas. Wszystkie pieniądze przeznaczone na tę włoską podróż wydałem tak gruntownie, że potem z dworca musiałem iść na piechotę do domu, bo nie starczyło już nawet na tramwaj.

Lato 1911, po doktoracie, spędziłem na pięknej dzikiej wyspie na Oceanie, Belle-Isle en mer. Byłem tam z mym uniwersyteckim niemieckim przyjacielem z Marburga, później tak sławnym historykiem filozofii. Heinzem Heimsoethem; na trzeciego przyjechał do nas z Fry-

burgu mój warszawski kolega, Władysław Kornilowicz. Cała ta małeńka wyspa była poszarpana skałami, zdobna ruinami dawnych fortyfikacji i najwyższymi falami, jakie widziałem w życiu. Wracaliśmy stamtąd do Paryża, każdy oddzielnie: ja przez normandzkie wybrzeże, (często teraz wspominane w życiorysach Prousta), Trouville, Deauville, St. Malo, a także przez Rouen i Caen. W Caen mieliśmy znajome z Paryża dwie siostry, młode dziewczyny, córki lekarza. Heimsoeth, który dojechał do Caen wcześniej i nie zdążył zawiadomić znajomych panien, a nierozsądnie krępując się odwiedzić je wprost, przyszedł pod pozorem obejrzenia zbioru fajek ich ojca; temu wydało się to podejrzanym, zwłaszcza że akcent gościa zdradził cudzoziemca, narobił więc alarmu. Ale w końcu rzecz się wyjaśniła. Gdy ja w parę dni później przejeżdżałem przez Caen, spotkanie odbyło się bez przeszkód. I — po 63 latach — wspominam naszą jazdę na rowerach z miasta nad brzeg La Manche. Wspominam ze smutkiem, bo już nikt, ale to nikt z tego grona nie żyje.

Co lato były inne podróże. Jednego lata z bratem mym byliśmy w Dreźnie, Monachium, Lucernie, Fryburgu, Montreux. Z Montreux — pouczony przez Kornilowicza — poszedłem przez góry, a potem pojechałem dylizansem przez Gruyère do kartuzji Valsainte, wysoko położonej w górach: każdy miał prawo zjechać do klasztoru, niczym się nie legitymując, nie podając nazwiska. O piątej rano budzono na nabożeństwo. Tego surowego, przejmującego kartuskiego kościoła do końca życia nie zapomnę.

W 1910 r. z matką i bratem lato spędziliśmy na Lido pod Wenecją. Mieszkaliśmy w dużym hotelu, Hôtel de Bains, który stoi po dziś dzień (rozgrywa się w nim akcja znanego filmu *Śmierć w Wenecji* według Tomasza Manna). Tam miałem tę niezwykłą sposobność poznania znakomitych ludzi: bo Władysław Łoziński, autor *Życia w dawnej Polsce*, Bolesław Ulanowski, sekretarz generalny A. U. i wielki zbieracz sztuki, Leon Piniński, mieszkali w tym samym hotelu. Pinińskiego później spotykałem niejednokrotnie w życiu, między innymi w Komitecie Odnowy Wawelu.

W lecie 1913 byliśmy znów we troje z matką i bratem w Engandinie. Samo St. Moritz nie bardzo utkwiło mi w pamięci, natomiast mam jeszcze w oczach widok w Maloii na równinę lombardzką, leżąca nisko u stóp; i pamiętam, że w Sils Maria myślałem o Nietzschem, który tam długo przebywał.

Po wojnie pierwszy wyjazd był w 1921 r. (jeszcze z Wilna) do Paryża. Odbywała się tam wówczas wielka wystawa sztuki polskiej; jej komisarzem był mój bliski znajomy znakomity rzeźbiarz — Edward Wittig, to jemu zawdzięczam, że zostałem zaproszony. Organizatorzy obmyślili odczyt propagandowo, w dużym stylu, w Grand Palais z ministrem pełnomocnym Polski (był nim wówczas Maurycy Zamoyski). Jakoś dałem sobie radę, i odtąd już bez lęku jeździłem na zagraniczne obcojęzyczne wykłady.

A było ich niemało. Wkrótce potem miałem odczyt w Genewie. W 1927 r. serię odczytów w Holandii, od Roterdamu po Utrecht. W roku 1928 — we wszystkich trzech stolicach skandynawskich. Brukselska Université Libre zaprosiła mnie na kilkutygodniowy kurs. Potem przyszły inne odczyty, konferencje, zjazdy, aż do II Wojny, a potem od 1955 r. na nowo.

Pierwszą wspólną małżeńską podróż, bez żadnych naukowych celów i obowiązków, lecz tylko dla przyjemności podróżowania i zwiedzania, odbyliśmy do Włoch w roku 1925, właśnie pół wieku temu. Byliśmy we Florencji i Rzymie i pojechali na Sycylię, na krócej do Palermo, potem na dłużej do Taorminy. Był czas Wielkanocy, kwiecień. Jak było dobrze, dowodem jest że choć mieliśmy okreśny bilet po całej Sycylii, nie skorzystaliśmy z niego, zostając w Taorminie do ostatniego dnia urlopu. Dziś myślę, że to nie było słuszne, bo już się potem nie nadarzyła podobna okazja i skończę życie nie zobaczywszy Girenti ani Selimuntu, ani Syrakuz.

Zostało mi wspomnienie pięknych miejsc, pięknej pogody, ale także trochę zabawnych zdarzeń. Mieliśmy polecenie do mieszkającego w Taorminie bohatera minionej wojny, któremu przysługiwał tytuł „Gran mutilato della guerra” (wielki inwalida wojenny). Mieszkał w centrum miasteczka, poszliśmy zobaczyć bohatera, ale nie mogliśmy się ani dostukać, ani dodzwonić, wreszcie zapytaliśmy sąsiadów. Ah, on? — odpowiedzieli — jest jak zawsze tu obok w traktierni, ciągle pije i tańczy. I rzeczywiście za chwilę ukazał się „wielki inwalida” oderwawszy się od zabawy i ocierając pot z czoła.

W 1935 r. odbyliśmy pierwszą podróż pozaeuropejską, mianowicie do Brazylii: miałem tam wykłady w Rio i w Sao Paulo, z inicjatywy polskiego ministra pełnomocnego w Brazylii, drogiego mi i bliskiego Tadeusza S. Grabowskiego, później profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z nim odbyliśmy egzotyczną niezapomnianą podróż do Interioru w lasy dziewicze. Z Brazylii wracaliśmy przez Afrykę: Dakar, Rabat, Alger. Natomiast dopiero po II Wojnie znalazłem się w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Wspomnę jeszcze jeden zagraniczny wyjazd i odczyt, bo był dziwny. W 1936 r. mój dobry znajomy, konsul polski w Kwidzynie, nieżyjący już dziś Mieczysław Rogalski, miał pomysł, by tam zorganizować odczyt polski. W tych hitlerowskich czasach było to raczej szczególne, ale zgodziłem się. Jako temat wybrałem *Polski Renesans*. Odczyt został zorganizowany przez władze miejscowe; zaproszeni zostali wyłącznie mężczyźni (jednocześnie dla mej żony odbywało się przyjęcie z udziałem samych pań). Wszyscy słuchacze co do jednego przyszli w mundurach. Bodaj wszyscy byli wojskowymi i urzędnikami wraz z gospodarzem, który nosił tytuł Kreishauptmana. Wyglądało to sielankowo, ale gdy nazajutrz w Waplewie pod Kwidzynie był zorganizowany mój odczyt dla Polaków, to w największej tajemnicy, dokoła domu były rozstawione pikiety by alarmować, jeśli się pojawi policja.

W sumie tych moich, tych naszych podróży było niemało. I dobrze, że tak było, czułbym się poszkodowany, gdybym przeżył swój czas nie zwiedziwszy choć częściowo swej planety. Dziś nie tyle nawet miałbym ochotę zwiedzić miejsca, w których jeszcze nie byłem, ile właśnie powrócić do tych, które już znam. *Noch einmal möcht' ich in Grinzing sein*. A także być znów w Wenecji i w Rzymie, także w Quartier Latin i na 42 ulicy, na Sunion, ale także w Montherey.

Jednakże — mimo wszystkie te jazdy — Warszawa była i jest moim miejscem na świecie. Widziałem niegdyś propagandowy druk Towarzystwa Krajoznawczego, który za pomocą szeregu koncentrycznych kół wywodził, że Warszawa stanowi centrum cywilizowanego świata. Nie myślę, by tak było. Ale odczuwam właśnie tak.

Obok pytania: gdzie było i jest moje miejsce na ziemi, nasuwa się też drugie: kiedy był mój czas. Inaczej: na jaki odcinek historii przypadło me życie? Ale to jest pytanie mające znaczeń więcej niż jedno.

A. W najprostszym znaczeniu daje się ściśle określić: metryka wymienia dzień, kiedy się zaczęło, akt zejścia poda, kiedy się skończy. Ale co innego jest ważniejsze:

B. Do jakiego należałem pokolenia? Otóż należałem do szczególnego pokolenia Polaków: urodzonych w mroku niewoli, którym w szkole nie wolno było między sobą mówić po polsku, ale — którzy doczekali się wolności. Byli nareszcie tym pokoleniem Polaków, które samo mogło o swych losach stanowić: pokolenie przez to samo szczęśliwe.

C. Pytanie o „mój czas” może wszakże znaczyć też coś innego: w jakim okresie dziejów żyłem. Otóż tu nadzwyczajne było to, że żyłem nie w jednym okresie, lecz w wielu, przynajmniej w trzech, jeśli nawet nie liczyć wojen jako oddzielnych, a tak bardzo odmiennych okresów. Pierwszy: to dnie niewoli i niedoli. Drugi: jako trzydziestoletni męczczyzna stałem się obywatelem wolnej Rzeczypospolitej i byłem nim przez dwa dziesięciolecia, aż po wojnę z Hitlerem. Trzeci: od ukończenia tej wojny jestem obywatelem Polski Ludowej.

Przemiany, jakie dokonały się w ciągu mego życia, były nie tylko polityczne: w moim dzieciństwie nie tylko nie śniło się o podróżach w kosmos (takie rzeczy były tylko w powieściach Verne'a), ale nie było ani samolotów, ani samochodów, jeździło się kolejami i końmi. W Warszawie nie było bodaj pięciopiętrowego domu. Tamte czasy a obecne (które są też moimi czasami) stanowią dwie różne epoki. Tej różnorodności starczyłoby przynajmniej na dwa ludzkie żywoty, jeśli nie na więcej.

D. I wreszcie, czwarte pytanie dotyczące mej egzystencji: czy byłem dostosowany do swego czasu, czy byłem z nim w zgodzie: czy mą ideologią dawałem wyraz ideologii epoki. *Être de son temps*, nazywają to Francuzi. Paradoks polega na tym: zmieniałem się nie tylko ja, ale także „mój czas”. Pytanie: czy byłem dostosowany do mego czasu — trzeba by uzupełnić: do którego czasu? Do XIX wieku, kiedy byłem dzieckiem? czy do Polski niepodległej? czy do okupowanej i walczącej? czy do międzywojennej czy do Polski Ludowej? Zmiany dokoła mnie dokonywały się tak szybko, że nie byłoby dziwne, gdyby zmiany we mnie nie mogły za tymi zewnętrznymi zmianami nadążyć. Ale mnie samemu niezupełnie jest łatwo to ocenić. Człowiek dostosowuje się do warunków, w jakich żyje. Żyłem w wielu okresach — i zapewne, w ten czy inny sposób dostosowywałem się do każdego z nich. Ale można też powiedzieć: że moim okresem był ten, kiedy byłem już i jeszcze w pełni sił. W takim razie byłbym człowiekiem — międzywojennym.

W tym okresie, który odczuwam jako centralny okres życia, był czas na wszystko: na pracę pedagogiczną, na podróże, na życie towarzyskie, na pisanie książek. Miejsce tu wspomnieć o książkach.

Z książek moich tylko *Historia filozofii* była napisana na zamówienie (Ossolineum), wszystkie inne tematy sam wybierałem. Dlaczego wybierałem je właśnie tak, a nie inaczej? Że zajmowałem się estetyką, to jest zrozumiałe: była połączeniem obu dziedzin mych zainteresowań. Pytać się można raczej: dlaczego podjąłem pracę nad nią tak późno? Jeszcze w przedmowie do *Skupienia i marzenia* z 1951 r. skarżyłem się, że nie mogę się na nią zdobyć. Ale wkrótce potem zdobyłem się i wypełniła ostatnie me dwudziestolecie.

Można się też pytać: dlaczego zajmując się estetyką, najwięcej czasu przeznaczyłem na jej historię. Ten zwrot ku historii nastąpił także i w innych dziedzinach mych studiów — jak go tłumaczyć? Może jako ucieczkę przed obowiązkiem wypowiedzania własnych poglądów? Zapewne tak; jednakże — występowały tu jeszcze inne względy.

Jedną z intencji tego, co napisałem było: uprościć obrazy świata, w szczególności świata ludzkich czynności i wytworów i przez uproszczenie uczynić go przejrzystszy i lepiej zrozumiały. Ulubionymi moimi pojęciami były pojęcia odmiany i typu. A odmiany i typy świata ludzkiego poznaje się w historii. W historii zaś stwierdzanie faktów pociągało mnie więcej niż ich wyjaśniania; chciałem najpierw wiedzieć, jaka była dana epoka, dana szkoła, dany myśliciel, a potem dopiero tłumaczyć, dlaczego był taki, a nie inny; tak było w historii filozofii, ale nie inaczej w historii sztuki. Chciałem na podstawie historii wyjaśnić sobie, jakie są możliwości tego świata, możliwości myśli i twórczości.

A znalazłszy pewne możliwości, typy, odmiany, byłbym chciał zestawić wszystkie jej okazy. W młodości projektowałem sobie zestawić wykaz kamienic Warszawy i dworów polskich typu klasycznego; zamiaru tego nie umiałem doprowadzić do końca, ale zrobili to czy robią inni. Natomiast zauważywszy dokoła Lublina pewien szczególny typ kościołów pierwszej połowy XVII wieku, usiłowałem nie tylko ustalić jego właściwości, ale także zestawić jego zabytki.

Trafiłem po wojnie na kilka okazów grobowca z XVII wieku, na którym zmarły przedstawiony jest na kłęczkach, a trafiwszy na nie, szukałem dalej — z nadzieją, że zestawię wszystkie nagrobki tego typu na polskich ziemiach. Podobnie było z rzeźbami z czarnego marmuru tak rozpowszechnionymi w Polsce XVII i XVIII wieku, a w szczególności w Krakowie: w latach, gdy mieszkałem w tym mieście, widywałem je codziennie po kościołach; inwentarz kompletny nie był możliwy (będzie możliwy dopiero po ukończeniu *Katalogu zabytków*), ale jednak zebrałem wykaz dość rozległy.

I pomimo, że tematy moje były wielorakie — czerpane zarówno z filozofii, jak i z historii sztuki — to jednak intencja była podobna: był to zawsze jakiś inwentarz, inwentarz form myśli czy inwentarz form sztuki. I tu leży pewnie przyczyna, dlaczego w historii sztuki, choć zacząłem od historii malarstwa, potem przeszedłem do historii architektury: bo w niej określenie typu, wyliczenie jego właściwości jest łatwiejsze. Przy takich upodobaniach było naturalne, że podejmo- wałem się dużych przeglądowych historii: oprócz historii filozofii i estetyki, w latach międzywojennych podjąłem się też napisania historii nowożytnej architektury polskiej, a także europejskiej.

Mniej może być zrozumiałe, dlaczego właśnie takie, a nie inne podejmo- wałem monografie; w tym wypadku była to sprawa sympatii:

pisalem o Arystotelesie i Pascalu, bo ci myslaciele byli mi bliscy. Jesli zajmowalem sie specjalnie architekturem Łazienek, to nie tylko dlatego, ze znalazlem dla ich historii materiały, ale także dlatego, ze miałem upodobanie do klasycyzmu.

Obok zaś świadomych racji wyboru tematów raz przynajmniej uświadomiłem sobie raczej podświadomą. Typem „lubelskim” w architekturze kościołów zainteresowałem się w początku lat dwudziestych; w 1926 r. ogłosiłem pierwszą o nich pracę. Będąc wkrótce potem w gościnie niedaleko Lublina, poprosiłem, by mię końmi na kolej odesłano dalszą drogą, ale tak, bym mógł wstąpić do tych Beżyc, gdzie często bywałem, jednakże tylko do dziesiątego roku życia. Dwór był przebudowany na szpital, ogród wytrzebiony, nie było żadnego pokarmu dla wspomnień. Ale zaszliśmy też do kościoła. I tu — zdziwienie! Kościół należał do tego „mojego” typu lubelskiego. Widywałem go tylko w dzieciństwie, potem zapomniałem. Ale może w podświadomej postaci obraz jego pozostał w mej pamięci i przyczynił się, że w mej pracy historyka upodobałem sobie ten typ.

Dlaczego zaś książkę poświęciłem szczęściu? Nie dlatego, bym je sam intensywnie odczuwał i potrzebował dlań wyjaśnienia; ani też dlatego, by mi go doktliwie brakowało i bym szukał sposobów na jego osiągnięcie. We własnym doświadczeniu niewiele znajdowałem, co by nadawało się na desygnat tego wyrazu. Nie byłem skłonny ani do upojenia, ani do całkowitego ukojenia, które zazwyczaj nazywamy szczęściem, więc pytałem siebie: Co to takiego może być, co nosi tę nazwę?

Życie moje — jak chyba większości ludzi — składało się z przeciętnych przyjemności i przykrości, ale przykrości przemijały dość szybko: a przyjemności okazywały się dostateczne, by ogólny bilans był dodatni. Miałem dzięki temu pewną kompetencję do zabierania głosu o szczęściu.

Pisząc książkę nie myślałem zresztą o sobie, ale — teraz odnajduję siebie w tym, co kiedyś napisałem. W szczególności: określenie szczęścia jako dodatniego bilansu życia i jako zadowolenia z życia w całości. Bo życie nieciągle emocjonalnie dawało jednakże w sumie zadowolenie z całości. Zawdzięczałem to pewnej łatwości zapominania przykrości doznanych i małej skłonności do martwienia się z góry. Niewiele oczekiwałem: jeśli doznawałem zadowolenia, to nie z oczekiwanej przyszłości. Chociaż wiem, że na ogół przyszłość większy ma wpływ na poczucie człowieka niż terażniejszość i przeszłość. Ale równoważyła to zdolność niemyślenia o przyszłości, poczucie, że jakoś przeżyję. To był czynnik mego zadowolenia z życia. A także to, co bywa nazywane optymistyczną tendencją pamięci, czyli skłonnością pamiętania rzeczy w bardziej różowy sposób niż rzeczywiście były.

Jest człowiekiem, który lubi pracę: nie wiem, skąd mi się to wzięło, czy także z domu rodzinnego. Nie lubię siedzieć beczynnie. Tego kwadransa, jaki nieraz upływa między powrotem do domu a posiłkiem czy przyjęciem gościa, nie mogę spędzić bez zajęcia, żartem mówię, że w te kwadranse napisałem moje książki, ale w tym żarcie jest odrobina prawdy. Przyjemność sprawia mi praca, ale nie wysiłek. Jak nie można inaczej, zdobywam się na wysiłek, ale raczej

mam sposób inny, skuteczny: gdy jedna praca zaczyna mię męczyć, zabieram się do drugiej. I w związku z tym jest moja naukowa dwupółowka: filozofia i historia sztuki.

Dużym brakiem mym było zawsze, że nie umiałem korzystać z pomocy innych, nie umiałem się wyręczać innymi. Nigdy nie miałem sekretarza; asystentów uważałem zawsze za asystentów katedry, a nie moich osobistych. Dopiero pod koniec życia miałem szczęście znaleźć paru młodszych przyjaciół, gotowych ułatwić mi mą pracę. W szczególności przyjaźń Janusza Krajewskiego, znakomitego bibliografa, przyczyniła się do tego, że do późnych lat mogłem pisać i wydawać książki.

Pracowałem i pisałem na ogół bez zakładania, że mam rację: to się dopiero w końcu okaże. Znajoma moja, nad łóżkiem swego dziecka umieściła napis: „on ma zawsze rację”. Na szczęście nie byłem wychowywany w ten sposób. I po dziś dzień została mi skłonność do przypuszczania, że gdy ktoś się ze mną nie zgadza, to właśnie on ma rację. Myślę, że to nie jest niesłuszna postawa.

25

Zona mówi o mnie, że jestem światowy, ale nie towarzyski: i to jest prawda. Lubię światowe zebrania, na których wnętrza, ludzie, ubiory — wszystko jest piękniejsze niż na co dzień. Lubię szybkie i krótkie spotkania i wymiany słów: wtedy łatwiej się ujawnia, że ten jest mądry, tamten dowcipny, ta piękna, tamta urocza, ta ma cudowną suknię, tamten zachwycające maniery. A jest w tych wielkich zebraniach jeszcze coś więcej: jest mnogość istnienia zademonstrowana naocznie, jest przynajmniej mały wyłom w tej prawdzie, że człowiek umiera nie zdążywszy obejrzeć swej planety i poznać się z ludźmi, z którymi jednocześnie żył.

A życie towarzyskie w małym gronie rodziny czy przyjaciół, owszem, daje poczucie bliskości ludzkiej, ale długie rozmowy przy stole czy lampie są najczęściej powtarzaniem rzeczy stokrotnie już mówionych. W bliskim gronie najchętniej powiem to, czego inni z tego grona jeszcze nie wiedzą, niech i inni to zrobią, a potem — wracajmy do swej pracy, książki, myśli.

26

W autobiografii, nawet w jej szkicu, nie powinno braknąć danych o zdrowiu: przecież to ważna rzecz. Krótko mogę o sobie powiedzieć: miałem siły słabe, ale zdrowie dobre. Jeszcze w młodych latach powiedział mi słynny naówczas lekarz, dr Łogucki, że mając taki organizm jak mój, należy raczej unikać sportów i wysiłków. Inni śmieli się z tego, ale myślę że miał rację.

Wcześniej przeszedłem wszystkie klasyczne choroby dziecięce. Szkarlatyną zaraziłem ojca, dyfterytem matkę, ale wszystko ostatecznie dobrze się skończyło. Potem przez 7 lat gimnazjalnych nie opuściłem ani jednej godziny szkolnej, a przez 8 lat studiów uniwersyteckich nie przeleżałem ani jednego dnia w łóżku. Gdy w 1905 r. byłem przez kolegów zaproszony na święta Bożego Narodzenia do Paryża, wyjechałem z Berlina wbrew rozsądkowi, bo z dużą gorączką, ale gdy dojeżdżałem na Gare du Nord, byłem już zdrow. I jeszcze tegoż wieczoru

jadłem wilię w Café d'Harcourt na Boulevard St. Michel (teraz nie ma już tej restauracji, wówczas klasycznej).

Wypadków miałem parę, łamałem po kolei obie nogi: jedną na Zjeździe Historyków Sztuki we Wrocławiu (trzeba było potem leżeć długo w tamtejszym szpitalu), drugą na wczasach w Jabłonie. Gdy czytam, jak na podagrę nacierpieli się ludzie dawniej, jak psuła życie choćby kasztelanowi Poniatowskiemu, ojcu króla, albo psuła charakter, jak Aleksandrowi Fredrze, to wdzięczny jestem lekarzom, którzy mnie z niej prędko wyleczyli. Do lekarzy lubiłem chodzić, ale na branie lekarstw nie miałem cierpliwości: moja szuflada była zawsze pełna nie użytych.

Najpoważniej byłem chory w młodości, to była ta sławna „hiszpanka” roku 1918. Przez nią przeleżałem te dni, gdy rozbrajano Niemców na ulicach Warszawy. Wtedy życie moje na pewno się chwiało, ale ostatecznie przeżyłem i to. I myślę sobie teraz tak: gdybym wtedy nie przeżył, nie byłoby już dziś nikogo na ziemi, kto by mógł pamiętać, że żyłem. A i druki nie przedłużyły by mej pamięci: miałem po polsku opublikowane jedynie drobiazgi. Co najwyżej jakiś kolekcjoner poloników znalazłby moją książkę i parę rozpraw w katalogach zachodnich, i zainteresowałby się: co to był za zapomniany historyk filozofii i sztuki o polskim nazwisku, który cośkolwiek ogłosił w obcych językach.

27

Miałem w życiu szczęście do pieniędzy. Ale było w odwrotnej proporcji do umiejętności korzystania z nich. Uniknąłem przez to obu nieszczęść: gdy się ma zbyt mało pieniędzy i gdy się ma ich zbyt wiele. Dokładniej, rzecz się miała tak: los wciąż dawał mi pieniądze, ale zabierał je, zanim zrobiłem z nich użytek.

Dziadek mój, na skutek kryzysu rolnego w XIX w., ale pewnie też i własnej nieudolności, wyleciał z majątku. Natomiast ojciec mój, wzięty adwokat, zostawił dość dużo pieniędzy. Lokował je ostrożnie w papierach i na hipotekach. Odsetki z tego, co odziedziczyłem, wystarczały na przyzwoite życie, nie potrzebowałem więcej; dzięki temu mogłem wybrać niedochodową filozofię. Korzystałem z tego przez cały czas studiów i nawet cośkolwiek dłużej. Natomiast od wybuchu I Wojny wszystkie papiery straciły całą swą wartość; z majątku zostało zero. Jednakże w tym czasie otrzymałem katedrę w uniwersytecie, filozofia, mająca być bezinteresownym zajęciem, stała się żywicielką moją i rodziny. I znów było dobrze.

Po utracie pieniędzy została jeszcze biżuteria mej matki i mej żony: za nią, w przededniu II Wojny kupiliśmy willę w Warszawie: była ładna i miła. Ale w 1944 spłonęła: tym razem przepadły nie tylko pieniądze, lecz wszystko. Dłuższy czas nie miałem nawet koszuli na zmianę. Ale za to były też nieoczekiwane radości: jak ta, gdy otrzymałem drugą koszulę.

Bieda nie trwała długo, wróciły pobory profesorskie i honoraria za książki. PRL nie naraża pisarzy i pracowników naukowych na głód. Postanowiliśmy nawet odbudować spaloną willę. Zniszczenie przekraczało 70%, co zwalniało odbudowującego od świadczeń i kwaterunku: miałem to na piśmie, z podpisem ministra. Ale to było w teorii, w praktyce dom zajęli lokatorzy, których nie można było się pozbyć.

A potem przyszło pismo, że willa przeszła na własność skarbu państwa. Adwokat rozłożył ręce: nic nie poradzimy, bo wyszła nowa ustawa. Więc znów: miałem i straciłem.

Teraz wychodziły me książki, pieniędzy było znów dość. Żona moja chciała mieć przynajmniej kawałek gruntu i domek na wsi. Okazja się trafiła. Ale gdy zebrałem potrzebne pieniądze, zanim doszło do podpisania umowy, nastąpiła zmiana waluty, pieniądze straciły swą wartość; domku na wsi nie dorobiliśmy się.

Już w późnym wieku uzyskałem nagrodę Jurzykowskiego za pracę naukową. Była płatna w dolarach, a Bank Polski dał zezwolenie na przekazanie ich do kraju. Zdawało się, że tym razem, to co mam, jest pewne. Jednakże nie było: nastąpiła dewaluacja dolara.

28

1 sierpnia 1939 roku — dokładnie co do dnia w ówczesnym wieku po rozpoczęciu I Wojny Światowej — znów wracałem z zagranicy. Jak w 1914 r. z Włoch, tak tym razem z Anglii, statkiem.

Pobyt w Anglii był przyjemny; powodem podróży był wielki Kongres Historyków Sztuki, odbywający się w końcu lipca w Londynie. Była okazja zobaczenia zarówno kolegów z całego świata, jak też wielu ciekawych i pięknych rzeczy, bo wielkie zbiory dzieł sztuki stały przed nami otworem. W jednym z prywatnych zbiorów w tym samym pokoju wisiały cztery płótna Rafaela; ale w wazonach stały tak piękne kwiaty a przez okno otwierał się tak piękny widok na Green Park, że kwiaty i widok przysłoniły w mej pamięci malowidła. W innej znów rezydencji wielkopańskiej, poza stolicą, jadalnię zdobiły cztery rodzinne portrety van Dycka *en pied*; ale tu znów nieprawdopodobnie wielka kolekcja szpicrut, stików, pejców, batów i innych przyborów jeździeckich w hallu zostawiła niewiele mniej silne wspomnienie. Wraz ze Stanisławem Lorentzem i Stanisławą Sawicką zorganizowaliśmy wycieczkę do Bath: najpiękniejszego bodaj klasycystycznego miasta na świecie. Można było zapomnieć o groźbie wojny wiszącej nad Polską.

Na przyjęciu wydanym przez Ministra Oświaty była obecna królowa-matka, Queen Mary. Jako przewodniczący delegacji polskiej byłem jej przedstawiony. Z królewską uprzejmością mówiła nie swoim językiem, lecz po francusku. Zaczęła rozmowę od słów, których nie zapomnę: *Je me demande comment nous pourrions vous aider, vous êtes si loin*. Nazajutrz, na obiedzie u ambasadora Raczyńskiego, na którym byłem razem z delegacją polską starającą się o pożyczkę, pomyślałem sobie, że powinienem być powiedzieć: w każdym razie Anglia może nam pomóc finansowo — ale nie byłbym miał racji, już było za późno. Królowa nie miała wątpliwości, że będzie wojna, że Hitler uderzy na Polskę i że Anglia stanie po naszej stronie. Była wyraźnie sprawą tą przejęta, nie chciała kończyć rozmowy, pytała, jak wyglądają Niemcy, czy widoczne są przygotowania wojenne. Rozmowa trwała tak długo, że utworzył się cały ogon delegatów czekających na kolejną rozmowę.

Wracaliśmy do kraju małym polskim statkiem „Lech”, *demi-cargo*, wiozącym też 8 pasażerów. Oprócz mej żony i mnie jechała na nim stara Angielka do rodziny zamieszkałej na Śląsku oraz 5 młodych Anglików. Gdy wdaliśmy się z nimi w rozmowę i gdy zapytałem,

po co jada do Gdyni, jeden odpowiedział za wszystkich: „Chcemy zobaczyć miejsce, gdzie wybuchnie wojna”. Istotnie zobaczyli, i był to ostatni ku temu moment.

W Gdyni zastałem nastrój przed burzą. Jednakże odbyłem w gmachu Szkoły Morskiej przedtem zapowiedziany odczyt. Po czym wróciłem do Warszawy, gdzie na pozór było spokojniej. Bez pośpiechu i popłochu wróciłem do Radoryża. Ale minął jeszcze tydzień i — rozpoczęła się II Wojna Światowa. Było to dla mnie zamknięcie centralnego okresu mego życia: między dwiema wojnami. Zaczęły się inne, zupełnie do dotychczasowych niepodobne czasy.

29

Na czas mego życia przypadło wiele przełomowych wydarzeń: rewolucja, trzy wojny. Były blisko mnie, jednakże tak się układało, że przełomowe momenty, jak początek i koniec wojen widziałem tylko z daleka. Masakry na placu Teatralnym w styczniu 1905 nie widziałem, bo tego samego dnia odbywał się wiec w Uniwersytecie: wojsko otoczyło Uniwersytet i wypuściło nas dopiero o północy; wracałem do domu przez Nowy Świat zupełnie wymarły, po dziś dzień pamiętam, że na śniegu nie było ani śladu ludzkiej stopy.

Początek I Wojny Światowej zastał mnie — jak to już opisałem — w wagonie między Wiedniem a Krakowem. A jej koniec w łóżku, bo chorowałem. Dość że nie widziałem, ani jak Warszawa reagowała na wybuch ani na zakończenie wojny.

Grozę nadciągającej wojny przeżyłem tylko w roku 1920. Przyszła nagle: byłem wtedy w Wilnie, beztroško robiliśmy koleżeńską wycieczkę do Trok, gdy przyszła wiadomość, że należy niezwłocznie cofać się ku zachodowi. W Warszawie zgłosiłem się do wojska, zostałem skierowany do oddziału w Łodzi — i tam dowiedziałem się o zwycięstwie nad Wisłą.

13 maja 1926 r. mieliśmy u siebie gości, gdy Piłsudski wkroczył zbrojnie do Warszawy. Wśród gości był dyrektor departamentu MSZ, który oczywiście wiedział, co się ma tego dnia stać, ale niczym tego nie zdradził.

Gdy II Wojna Światowa zaczynała się, byłem na wsi, a gdy kończyła — też na wsi, już jako uchodźca. Więc znam początek i koniec wojny tylko jakby z daleka, z zapadłego kąta, i tylko ze słyszenia; wiem, co to jest ta nagła niepewność, lęk, szukanie wiadomości. Natomiast to, co się działo między początkiem a końcem wojny, znam aż nazbyt z bliska.

30

Byłem tedy na wsi na Podlasiu, późnym latem 1939, gdy wybuchła wojna. Niepokój, nieświadomość, co się poza naszą gminą dzieje, niepodobieństwo uzyskania informacji — to była przeważająca wówczas sprawa, a i dziś przeważające wspomnienie. Rodzina była rozsypana: Matka moja została w Warszawie, mój brat jako oficer rezerwy był w drodze do Rumunii, brat mej żony jako poseł Rzeczypospolitej był w Sztokholmie. Zła rzeczywistość prędko stała się oczywista. Pojawiały się i odjeżdżały rozproszone i poszukujące się wzajem oddziały wojska;

w jednym szwadronie był znajomy oficer, którego po wojnie znów spotkałem, ale jako ojca benedyktyna w Tyńcu. Radoryż leżał na szlaku drogi na wschód, którą codziennie przechodziły i przejeżdżały setki i tysiące ludzi; wielu można było przenocować, a jeszcze liczniejszych przynajmniej odkarmić. Przewijali się nierzadko znajomi: któregoś dnia pojawili się dwaj młodzi koledzy uniwersyteccy, docent Bogdan Kieszkowski i dr Bolesław Sobociński; pamiętam, że byli w ciemnych wizytowych ubraniach i ze skórzanymi walizkami, pięknymi, ale niemożliwie ciężkimi dla idących pieszo.

W naszym najbliższym sąsiedztwie toczyły się ostatnie walki tej wojny i generał Kleeberg złożył broń. Pewnego dnia proboszcz przysłał po mnie chłopca, że w plebanii czeka ktoś znajomy. Gdy przyszedłem okazało się, że to o. Innocenty Bocheński, O.P. W znużonym, zniechęconym, rozgoryczonym kapelanie rozbitego oddziału trudno było rozpoznać świętego filozofa i przewidzieć, że po niewielu latach, jako rektor uniwersytetu Fryburskiego, latać będzie po świecie własnym samolotem.

W dzień czy dwa potem duży oddział niemiecki był już we dworze. Wyżsi oficerowie byli — jeszcze! — uprzedzająco uprzejmi. Na noc zajęli salon, ale, aby się czuć bezpiecznie, wszystkie drzwi zabarykadowali szafami.

Do Warszawy wróciliśmy dopiero w listopadzie. Jechało się końmi, by unikać kolei. Jechało się wozem, bo trzeba było wziąć ze wsi do miasta jak najwięcej zapasów. Tę drogę wozem odbywaliśmy podczas wojny wielokrotnie: czasami udawało się te sto kilometrów odbyć w jeden dzień, kiedy indziej w dwa, z noclegiem w Wielgolesie pod Latowiczem u Bogdanów Wyleżyńskich.

Do roku 1943 włącznie okresy letnie spędzaliśmy w Radoryżu. W porównaniu z miastem życie było tam sielskie. Cierniem w sercach była nie tyle dokuczliwość terażniejszości, ile niepokój o przyszłość; chyba mnie pamięć nie myli, że najwyższe natężenie niepokój osiągnął w okresie upadku Paryża.

Dwórn był gęsto wypełniony uchodźcami, głównie z Poznańskiego: dotąd miło wspominały tych przedtem nie znanych gości. Miewaliśmy też gości z Warszawy, wspólny pobyt Mieczysława Milbrandta i Ludwika Kasińskiego utrwaliła fotografia, którą mam przed oczami; kiedy indziej pojawił się Jan Gralewski — jeszcze jeden z tego wyjątkowo uzdolnionego a nieszczęśliwego pokolenia studentów filozofii. Jako tajny kurier jeździł na Zachód i zginął razem z gen. Sikorskim.

Urozmaiceniem tych wiejskich lat wojennych był napad bandycki; był tylko jeden, a to, co nam zabrali bandyci było niczem w porównaniu z tym, co zniszczył rok 1944.

Miałem czas na pracę. Uzupełniałem, mianowicie, książkę *O szczęściu*: wtedy przybył m.in. rozdział o nieszczęściu. Ta względnie sielska egzystencja wśród nieszczęść wojny trwała do roku 1943: wtedy okupanci ustanowili w Radoryżu tzw. Liegenschaft pod zarządem swego urzędnika. A my wróciliśmy na stałe do Warszawy.

W Warszawie mieszkaliśmy wówczas przy ul. Prezydenckiej w jednorodzinnym małym domu Kolonii Staszica. W dzielnicy tej „łapanka” odbyła się wcześniej, gdy nas właśnie w Warszawie nie było; później był tu już na ogół spokój i żyło się dość zacisznie. Życie było raczej czynne, wykładałem na dwu tajnych Wszechnicach: Warszawskiej

i Ziemi Zachodnich. Wykłady te były wielokrotnie opisywane. Nie umiałbym o nich napisać trafniej, niż to uczynił jeden z ówczesnych słuchaczy, dziś tak znany profesor Uniwersytetu Warszawskiego — Jerzy Pelc. Najbardziej utkwiły mi w pamięci te, które odbywały się na terenie Szpitala Dzieciątka Jezus. Względnie bezpiecznym lokalem wydawało się laboratorium chemiczne przy ul. Nowogrodzkiej; jednak i stamtąd wychodziliśmy pojedynczo lub co najwyżej we dwóch, a po jednym z wykładów dwaj słuchacze, którzy wyszli razem, zaginęli, widocznie wpadli w ręce gestapo; już nigdy nie znalazł się ich ślad.

O dwa domy ode mnie, na Prezydenckiej 8, mieszkali Bohdanowie Pniewscy i w ich domu — ze względu na ich córkę Basię — odbywały się nieraz wykłady. W domu między moim a Pniewskich mieszkał pułkownik v. Bethmann Holweg, jedna z głównych postaci wojskowego zarządu miasta. Co rano przychodziło po niego dwu żołnierzy z karabinami maszynowymi i odprowadzali go do urzędu. Czekali właśnie na niego tego dnia, gdy szedłem na wykład od siebie do Pniewskich. Zanim jeszcze wykład rozpocząłem, rozległy się strzały i wpadła służąca wołając, że zabito pułkownika. Rozeszliśmy się niezwłocznie i nawet nocowali wszyscy poza domami; jednakże niepotrzebnie. Żadnych represji tym razem nie było, mówiono, że strzał do pułkownika był wynikiem obrachunków wewnętrznych w wojsku.

W jedno przedpołudnie, gdy był u mnie Włodzimierz Pietrzak, usłyszeliśmy znane odgłosy i przez okna zobaczyliśmy, że cała dzielnica obstawiona jest wojskiem. Za chwilę będzie tu rewizja, niedobrze byłoby, gdyby mię niezameldowanego tu zastała, powiedział mój gość; nałożył płaszcz, kapelusz, rękawiczki i z takim spokojem i pewnością wyszedł z domu, że kordon żołnierzy rozstał się i przepuścił go.

Syn mój, studiujący matematykę, gdy raz wracał ze swych wykładów, został zatrzymany przez patrol, wciągnięty do bramy, poddany rewizji; ale szczęśliwy traf sprawił, że szef patrolu sam był matematykiem, z zainteresowaniem i długo oglądał kajety i w końcu — puścił wolno. Szczęśliwy traf pomógł i mnie; byłem dosłownie o kilkadziesiąt kroków od tych bud, na Marszałkowskiej, w które ładowano i potem stracono więcej niż stu przygodnych przechodniów. To wszystko było wyjątkowo szczęśliwą serią w tych strasznych latach.

Me wojenne szczęście objawiło się jeszcze w inny sposób. Byłem od 1935 r. prezesem zarządu głównego ogólnopolskiego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych i Średnich, wspaniałej instytucji, której oczywiście nie mogli wybaczyć okupanci: już w listopadzie 1939 r. zostałem wezwany do Gestapo na Szucha. Miałem ich zawieść do siedziby Towarzystwa (w Alejach Ujazdowskich). Oficer wrzeszczał, gdy klucz się zaciął. Potem znowu: zobaczywszy na ścianie mapę Polski Romera — „gdzie jest indeks do niej?” krzyczał robiąc rewizję. Oczywiście musieliśmy opuścić naszą siedzibę, ale robiliśmy swoje dalej. Pamięci ofiar spośród kolegów została poświęcona późniejsza tablica w kościele św. Anny. Z trzech wiceprezesów Stefan Kwiatkowski został rozstrzelany w Palmirach jeszcze jesienią 1939, później drugi — Bolesław Pochmarski, a przed samym końcem trzeci, niezapomniany Tadeusz Mikułowski. Jakimś szczęśliwym trafem śmierć mnie ominęła; z dawnego prezydium zostaliśmy tylko we dwóch z Maksymilianem Tazbirem. Przekazaliśmy sprawy i majątek Towarzystwa już wiosną 1945 r. Czesławowi Wycechowi dla Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Radością tych lat były co-poniedziałkowe spotkania z grupą starszych słuchaczy uniwersytetu: Mieczysław Milbrandt, Ludwik Kasiński, Jan Mosdorf, Jan Gralewski, Jan Łempicki, ks. Jan Popiel, Alicja Kadler, Alicja Szebeko, Alicja Iwańska, Danuta Hiżowa, Danuta Krzeszewska, niekiedy ks. Jan Salamucha i Maria Zenowicz, późniejsza Brandysowa, brali w nich udział. Każdy z uczestników przedstawiał swoje tematy, ja najczęściej zagadnienia szczęścia; potem przygotowaliśmy wspólną książkę o głównych pojęciach filozofii; była w zasadzie skończona, podczas Powstania ukryta i — zagubiona: ówczesny los wielu rękopisów. Dzieje tej grupy spotykającej się w poniedziałki nie były pomyślnie: bardzo prędko Mosdorf został zabrany do Oświęcimia, Gralewski zginął wraz z gen. Sikorskim pod Gibraltarem, zginęli w powstaniu Salamucha, Milbrandt, Łempicki. Zebrania literackie, w których również brałem udział, odbywały się najczęściej w ładnym mieszkaniu pani Folusiewiczowej na Filtrowej: patronem ich był Irzykowski, vedetą Nałkowska, brali udział Breza, Bąk, Łaszowski i niemało innych.

W latach tych była stale godzina policyjna i już przez to samo czasu do pracy pod dostatkiem. Po ukończeniu i przepisaniu książki *O szczęściu* zabrałem się do III tomu *Historii filozofii* (przed wojną wyszły tylko dwa pierwsze). Rękopis tego, com teraz napisał leżał na biurku, gdy wybuchło Powstanie. Zapomniany i zostawiony spłonął wraz z domem. Rozdziały te potem z pamięci pisałem na nowo w Krakowie.

2 sierpnia przypadał dzień naszego srebrnego wesela. W wilię tego dnia wyszedłem na miasto zamówić dla mej żony kwiaty. Na mieście widoczne było napięcie i oczekiwanie. O czwartej przyszła jeszcze do mnie słuchaczka na egzamin. Pamiętam, że była to córka ówczesnego rektora Politechniki, Józefa Zawadzkiego i że zdążyła przed piątą do domu.

Mieszkając w jednorodzinny domu w ogrodzie, nie byliśmy poinformowani o tym, co dzieje się w mieście. Ale o zmroku zastukała grupa powstańców: byli bez broni, zagubieni, bezradni, okropna zapowiedź tego, co się miało stać. Potem zaś straciliśmy kontakt ze światem. W parę dni potem zaczął strzałami do drzwi i okien dobijać się oddział własowców. Byliśmy przygotowani, że to ostatnie nasze minuty: istotnie w sąsiednich domach zastrzelili setki ludzi, między którymi był Mariusz Maszyński i żona Edmunda Trepki. U nas zabrali zegarki i insygnia Polonii Restituty (sądząc że są złote), masowo zgwałcili służącą i poszli.

12 sierpnia przyszły wojska niemieckie, otoczyły nasz dom, opróżniły go i spaliły. Zapędzono nas na kolej i zawieziono do Pruszkowa. Stamtąd na trzeci dzień wypuszczono, dzięki zacnemu lekarzowi, który komendantowi obozu wyperswadował, że jesteśmy chorzy na dyzenterię i możemy spowodować epidemję. Pierwszą wolną noc spędziliśmy w Stawisku, domu Jarosławów Iwaskiewiczów, wypełnionym uchodźcami; potem dostaliśmy się do Żab, folwarku mego brata pod Błoniem: mój brat był w Rumunii, obie bratanice w powstaniu, ale zaopiekowała się nami moja bratowa. Było to na trzydziestym kilometrze od Warszawy, więc co wieczór można było z rozpocząć oglądać płonące miasto. Po paru tygodniach Niemcy zajęli dwór, trzeba było wynieść się do oficyny. Potem zajęli oficynę, trzeba było wyjechać.

Wyjechaliśmy do Krakowa. Tam znaleźliśmy schron u drogich Zdzisławów Jachimeckich, dla syna wynajęliśmy jakiś kąt u nieznajomych. Po paru dniach na rynku spotkałem Stefana Szumana: stale przebywał teraz z żoną w majątku pani Marii Kozłowskiej, Luborzycy, o kilka-kości wiorst od Krakowa; wymyślił, że i my się tam zmieścimy. I tak się stało. Dzięki gościnności pani Kozłowskiej spędziliśmy u niej ostatnie miesiące wojny i jej koniec. Z dworu leżącego dość daleko od głównego szlaku zaledwie zauważyliśmy, jak się jedno wojsko wycofywały, a weszły nowe, jak wojna zbliżyła się ku końcowi.

Raczej reforma rolna zmieniła sytuację: właścicielka wyjechała z majątku, a wkrótce po niej jej goście. Na razie w Krakowie sytuacja nasza była ciężka, bez mała cięższa niż podczas wojny. Ale niebawem jakimś szczęśliwym trafem znaleźliśmy względnie przyzwoite mieszkania na Lenartowicza, został otwarty Uniwersytet i wypłacono pierwsze pobory. Groźny okres wojny był skończony.

31

Od końca II Wojny minęło 30 lat. Jest to wiele czasu, więcej niż całe dzieciństwo, dorastanie, studia i pierwsze prace aż do uzyskania stanowiska, więcej niż to wszystko razem wzięte. Jest to czas dwukrotnie dłuższy niż ten, który odczuwałem jako cały główny okres mego życia. Mieszkanie w Krakowie miało być prowizoryczne, ale — *il n'y a que le provisoire qui dure*; w tym wypadku trwało 15 lat. A jednak wszystko to wydaje się krótkie. Przypuszczalnie wydaje się tak dlatego, że jest odczuwane jako terażniejszość, jako jedno wielkie dziś, jedno teraz. *In tria tempus dividitur*: przeszłość skończyła się z wojną, przyszłość zacznie się od jutra, a wszystko to, co jest między nimi, to terażniejszość.

Ale czyż nie ma w tej trzydziestoletniej terażniejszości żadnych znaków granicznych? Owszem, były: w 1955 r. trzy miesiące spędzone w łóżku ze złamaną nogą, potem znów w 1960 r. trzy tygodnie w szpitalu. Jednakże były jak czarne chmury na jasnym niebie, które rozplywają się z czasem, aż po pewnym czasie nie zostało z nich nic. Zmiany były: wiek się posuwał, zdrowie i poczucie się psuły, siły zmniejszały, wszakże wszystko to działo się stopniowo, miespostrzegalnie, bez granicznych punktów. Jeszcze bardziej zmniejszało się działanie nagród czy odznaczeń: pierwsze były odczute głębiej, późniejsze robiły coraz słabsze wrażenie. Wydawanie książek? początkowo było wielkim przeżyciem, potem coraz mniejszym; pamiętam tylko daty dawniejszych. Tak samo: jedynie daty pierwszych przekładów na obce języki. Podróże? pamiętam je dobrze, ale nie jestem już pewien ich dat. Z powojennych zachowałem w pamięci datę tylko najdłuższej, amerykańskiej.

Jednakże były w ciągu trzydziestolecia przynajmniej dwie sprawy, które dokonały się w sposób gwałtowny, nieciągły, wprowadziły radykalną przemianę w warunki i tryb życia. Jedną była zmiana miejsca zamieszkania: powrót z Krakowa do Warszawy; zmiana istotna, znalezienie się wśród innych ludzi, choć wśród znanych miejsc. Drugą przemianą było przejście na emeryturę, zaprzestanie wykładów, nowy tryb życia. A obie te przemiany dokonały się w tym samym roku 1960, jednocześnie, jakby rozcinając trzydziestolecie powojenne na dwie połowy.

Mimo to nie zaważyły w mym poczuciu czasu. Dlaczego? Bodaj dlatego że do Warszawy także z Krakowa przyjeżdżałem często i na długo, związany z Uniwersytetem, Akademią, wydawnictwami. A po przejściu w stan spoczynku nie przestałem wykładać na różnych kursach, miałem dalej pewien udział w życiu szkół wyższych.

I ostatecznie, to trzydziestolecie odczuwam jako jednolite, teraźniejsze, bez słupów granicznych w czasie.

32

Jedynie czas astronomiczny przebiega równomiernie. Czas ludzki ma stałe przyspieszenie (a inna rzecz, że się przejściowo zwalnia przy każdym oczekiwaniu i znów przyspiesza przy intensywnym zajęciu). Dla wyrostka czas od niedzieli do niedzieli dłuży się, a od wakacji do wakacji staje się nieskończonością. Potem tygodnie, miesiące i lata stają się dla człowieka coraz krótsze, mijają z przerażającą nieraz szybkością. Rok starego człowieka to znacznie mniej niż rok dziecka, a nawet młodzieńca. Dotyczy to nie tylko teraźniejszości, ale też przyszłości: przed starym człowiekiem zostaje nieproporcjonalnie i nieoczekiwanie mało czasu. Jest to typowa mała ludzka tragedia: młodemu człowiekowi wydaje się, że ma czasu bez miary przed sobą, potem zaś okazuje się, że ma go mało, nie tylko dlatego, że już część jego czasu minęła, ale też dlatego, że czas który pozostał okazuje się krótszy, niż się wydawał.

Skracanie się czasu dokonuje się w dwu kierunkach: nie tylko czasu przyszłego, który człowiekowi pozostał, ale także przeszłego, już przeżytego; ten również wydaje się coraz krótszy. Jak to? pytamy się siebie — już tyle czasu minęło i tak prędko? Kiedyż zdążyło się to stać? Niedawno życie się zaczynało, a już tak mało go zostało.

Sposoby wyobrażania sobie czasu są zapewne u różnych ludzi różne; co do mnie, to nie umiem go sobie wyobrazić inaczej niż przestrzennie: jako drogę. Otóż droga mego długiego życia, jak ją widzę, jest krótka, ale najkrótszy, zupełnie krótki, nieproporcjonalnie krótki jest ostatni odcinek. Gdy wojna się skończyła, ta droga w mej wyobraźni zakręca i kończy się. Zaczyna się teraźniejszość: trzydzieści lat sprasowane w jedną płaszczyznę.

33

W latach 1948—1954 nie wyjeżdżało się za granicę. Natomiast od 1955 jeździłem niemało. Od 1956 przez szereg lat corocznie na zebrania Unii Akademickiej (Union Academique Internationale) do Brukseli: dobrze te zebrania wspominam. Jeździłem na niektóre kongresy filozofów i niektóre historyków sztuki; a zaś regularnie na zjazdy estetyków: miałem tam referaty: 1956 — w Wenecji, 1960 — w Atenach, 1964 — w Amsterdamie, 1968 — w Uppsali, w 1972 — w Bukareszcie; te zjazdy wspominam jeszcze lepiej.

Często bywałem w Paryżu; wiele godzin spędziłem w Bibliothèque Nationale; we Włoszech po II Wojnie byłem wiele razy, najczęściej w Wenecji, w której czuję się bardzo szczęśliwy, i w Rzymie. Tu raz byliśmy zakwaterowani wygodnie w stacji polskiej koło Piazza Venezia. Ten pobyt był tym szczególnie pamiętny, że wtedy mieszkali w Rzymie Kazimierzowie Wierzyńscy. Ostatni raz w Rzymie byliśmy

ponad miesiąc, mieszkaliśmy przy Piazza Spagna, a zwiedzali wyłącznie starochrześcijańskie kościoły. Jeździłem do Neapolu, na Capri, do Paestum i Velii (niedawno odkopana starożytna Elea, z której pochodzili znakomici filozofowie dawnej Grecji). W innym roku spędziliśmy dłuższy czas w cudownej Pizie; raz Wielki Tydzień w Asyżu; zatrzymaliśmy się w San Giminiano; w 1958 z Romanem Ingardenem robiliśmy piękną wycieczkę autem: Wenecja — Ravenna — Urbino — Orvieto — Viterbo — Rzym; w 1970 miałem wykład w Urbino: to wszystko są piękne wspomnienia, a mogło być tych podróży jeszcze więcej. Nie skorzystałem z dwu zaproszeń: do Indii i do Meksyku — i dziś tego żałuję.

W pół wieku po młodzieńczej podróży do Petersburga byłem znów w Leningradzie; a pierwszy raz w Moskwie. Odczyt w Uniwersytecie Łomonosowa i dyskusje z kolegami z radzieckiej Akademii Nauk dowiodły, że jeszcze nie zapomniałem rosyjskiego języka, którego nauczyłem się w XIX w. i odtąd nie miałem okazji używania. Wdzięcznie wspominam serie wykładów w Amsterdamie, w Getyndze, Bonn i Kolonii, w Pradze czeskiej. A już szczególnie dwukrotne wykłady w Tuluzie, bo były połączone z odwiedzinami drogiego Augusta Zamoyskiego w jego wiejskim domu w St. Clar. Dobrze wspominam pobyty nad morzem, w Beaulieu czy Ostii, nad Renem w Königswinter.

Wspaniała była podróż samochodem z mym niemieckim przyjacielem Heimsothem w r. 1964: z Zurychu do Kolonii, z odwiedzinami u wdowy po Nicolai Hartmannie w Schwarzwaldzie, z przerwami m.in. w Würzburgu, w malowniczym Schwäbisch Hall i w naszym studentckim Marburgu, oglądany znów po latach, w Kassel, gdzie odbywała się wystawa najnowszej sztuki „Documenta III”, w Limburgu, ze słynną katedrą romańską. Była to część długiej podróży, która zaczęła się w Amsterdamie z okazji zjazdu estetyków, a skończyła dłuższym pobytem w Paryżu, gdzie przygotowywałem *Historię estetyki*. A po drodze była jeszcze wizyta w Lozannie, Caux, Lucernie, a także duży i ciekawy zjazd historyków sztuki w Bonn.

Podróże te to były szczególne dary losu; ale i zwykle lata były jakże przyjemne: prawie co wiosny jeździliśmy nad morze, gdzie mieszkają me bratanice, a potem do Radziejowic i Nieborowa. Tam były nie tylko wakacje, ale i praca: jak niegdyś w Radoryżu pod cieniem, tak pod historycznym nieborowskim platanem napisałem sporą część tego, co zostało wydane.

Jednakże największym wydarzeniem lat powojennych były dwie podróże do Ameryki Północnej. Pierwsza była w 1962 r. na zaproszenie Ford Foundation: dużośmy wtedy zwiedzili, dwa miesiące w Nowym Jorku, dwa w Princeton, wypad na Florydę i na Jamajkę. Kalifornia zdobyła nasze serca: to jest miejsce (jedyne z tych, które znam) stworzone na miarę człowieka, ani za gorące, ani za zimne, ani za suche, ani za wilgotne, cały rok w kwiatkach, z tak pięknym miastem jak San Francisco, z tak uroczym uniwersytetem, jak Berkeley. A Princeton jest również zachwycające; nie mieliśmy samochodu innego niż znajomych, za to od wojny nie nachodziliśmy się tyle po lasach co tam. Polubiliśmy też Nowy Jork: gdzie jest piękniejsza ulica od Park Avenue (chyba tylko Krakowskie Przedmieście w Warszawie), gdzie żywszy ruch i wspanialsze sklepy niż na 42 lub na V Avenue?

Jednakże prawdziwą przyjemnością była druga podróż: spędzić całe dwa *terms* w Berkeley, być tam czynnym jako normalny profesor. Wacław Lednicki już nie żył, miejsce jego zajął Czesław Miłosz, który niegdyś w latach wojny był mym słuchaczem na tajnych wykładach. Dopiero tym razem byłem w Yosemite Valley i latałem prywatną avionetką. Znow byłem z wykładami w uniwersytecie w Notre Dame, ale także spędziłem parę dni w klasztoru polskich pijarów (u mego dawnego słuchacza, ks. dra Józefa Pujdaka), tak gościnnym a cudownie położonym nad Ontario, naprzeciw Niagary.

Tym razem dostaliśmy się do Ameryki „Batorym” przez Montreal, gdzie właśnie w owym roku 1967 była wystawa światowa. Do Montrealu pociągnęły mię też związki rodzinne: mieszka tam mój cioteczny brat. Starsza jego córka jest najszybszą kobietą Kanady na długie dystanse), młodsza jest kandydatką na *miss Canada*, starszy syn przeszedł na braminizm, został mnichem i przeniósł się do Indii. Młodszy jest jeszcze studentem, a już wybitnym szachistą; niedawno był po raz pierwszy w Polsce: ze swą *girl friend* wracającą z Japonii, umówili spotkanie w Warszawie pod kolumną Zygmunta i — rzeczywiście się tu spotkali.

34

Tak — gdy się skupić — pojawiają się w pamięci różne lata i miejsca, podróże i pobyty. A co przez ten czas zrobiłem? *Historia filozofii* była skończona i wydana. Zajmowałem się, mieszkając w Krakowie, „cracovianami”: przyczynkami do historii UJ i zabytków sztuki. Były to jednakże prace marginesowe: pracą główną, na wiele lat (jak poprzednio *Historia filozofii* i *O szczęściu*) stała się teraz *Historia estetyki*. O ile pamiętam, podjąłem ją wkrótce po skończeniu i wydaniu III tomu *Historii filozofii* w roku 1948. Było to zadanie na długie lata: dwa pierwsze tomy były gotowe w końcu lat pięćdziesiątych i ukazały się drukiem w 1960. Już w roku tym zacząłem pracę nad tomem III: oddałem ją wydawnictwu w 1965, wypuszczona została w dwa lata później. Potem zaś przeszedłem do monografii pojęć estetycznych: owocem ich były *Dzieje sześciu pojęć* — 1975.

Nie przerwałem też wykładów, miewałem je w różnych instytucjach; szczególnie lubiłem je we „Wszechnicy PAN-u”, na które przychodzi wielu i różnorodnych słuchaczy. Dość, że żyłem dalej tak jak poprzednio, pomimo przejścia na emeryturę. Przejście to jest momentem, w którym można ocenić, czy się wybrało właściwy zawód. Urzędnik bankowy, osiągnąwszy sześćdziesiąty piąty czy siedemdziesiąty rok życia, przechodzi na emeryturę i z dnia na dzień zmienia swój tryb życia, przestaje siedzieć przy swym stole i robić swe rachunki; jest wykolejony. Zaś człowiek nauki po osiągnięciu lat emerytalnych robi dalej to, co robił dotąd. To jest wielka jego przewaga.

I w sumie jest to dobra egzystencja: starego profesora w stanie spoczynku. Ma jeszcze coś do roboty, a nie ma przymusu. Tylko sam sobie dobrowolnie przymusy narzuca. Ma czas: może o dowolnej porze iść na spacer do ogrodu — póki go jeszcze nogi chcą nosić. Równie, a nawet bardziej ważne jest to: nie ma już ambicji, przestał być dla innych rywalem. Innym nie przeszkadza, nie potrzebują go się lękać, nie mają czego mu zazdrościć: w takiej sytuacji — bez przeciwników, rywali i wrogów — życie jest znacznie znośniejsze.

Zapiski autobiograficzne, oprócz działu: co robiłem, co widziałem, jaki byłem? mają zazwyczaj jeszcze drugi dział: kogo znałem? I dokonują selekcji z punktu widzenia, czy ten, kogo znałem był „wybitny”.

W ciągu długiego i urozmaiconego życia miałem oczywiście znajomych wielu. I od dzieciństwa znałem ludzi wybitnych, choć z ich wybitności wtedy nie zdawałem sobie sprawy. Nie zdawałem sobie oczywiście sprawy z tego, że uczący mię w przedszkolu Mieczysław Brzeziński był wielkiej miary pedagogiem; ani też później, że wśród wątpliwej wartości nauczycieli ówczesnego warszawskiego gimnazjum Karol Appel, który nas uczył francuskiego, był wybitnym językoznawcą, że profesor prowincjonalnego rosyjskiego uniwersytetu w Warszawie, Spektorski, był dobrym filozofem prawa.

Miałem potem z tymi ludźmi powiązania: byłem ostatnim prezesem Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, którego Brzeziński był pierwszym prezesem; z Applem kolegowałem potem w Uniwersytecie Warszawskim, a Spektorskiego spotkałem w 1935 r. na Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym. Delegaci narodów słowiańskich, Polacy, Rosjanie, Bułgarzy, Serbowie zebrali się na tym kongresie raz oddzielnie, nie mogąc się jednak wzajem zrozumieć, zaczęli dyskutować po — niemiecku, Spektorski wtedy powiedział: „Język niemiecki to słowiańskie d-esperanto”. Dziś powiedziałaby to raczej o angielskim.

Tak samo nie mogłem przypuścić, że Jan Mrozowski, którego przez lata widywałem codziennie jako pomocnika mego ojca, będzie z ramienia Polski przeprowadzał likwidację I Wojny Światowej. Ani, że jeden z półsetki mych kolegów szkolnych, niczym się na pozór nie wyróżniający Kazimierz Sosnkowski, będzie po kilkunastu latach szefem sztabu Legionów. Trudno też było się domyślić, gdy w 4 klasie gimnazjalnej grałem w teatrze amatorskim z Bronisławem Malinowskim, że będzie wielkim uczonym. Ani też, gdy brałem z Zofią Nałkowską lekcje tańca, trudno było myśleć o tym, że będzie wielką pisarką.

Znałem wielu ludzi: miało to przyczynę w upodobaniu do obcowania z ludźmi, ale także w samym moim zawodzie, bo miałem znajomych zarówno wśród filozofów, jak wśród historyków sztuki, artystów i literatów. Wykładałem w 4 uniwersytetach, więc znałem aż cztery grona wykładowców. Nie tylko wykładałem w szkołach wyższych, ale też należałem do wielu organizacji naukowych, artystycznych. W uniwersytetach słuchacze byli liczni, a co roku przychodziła nowa ich fala. Na wykłady i zjazdy naukowe często jeździłem za granicę, więc i tam zebrano się niemało znajomych.

Były to znajomości różnej bliskości i nasilenia. Sporo znakomitych ludzi znałem głównie z widzenia, jak Crocego, Lachelier'a czy Le Roy, Wilamowitza, Möllendorfa czy Diltheya: słuchałem ich wykładów czy spotykałem ich na zebraniach.

Rozmawiałem ze znakomitościami: dłużej z Bergsonem czy Ortega, poetą Paul Fort'em czy rzeźbiarzami Bourdelle'm i Maillolem. Znałem bliżej sławnych ludzi. By się ograniczyć do filozofów: znałem długo i dobrze twórców Szkoły Marburskiej: Cohena i Natorpa. Cassirera

i Nicolai Hartmanna, nie mówiąc o Polakach: Twardowskim, Mahrburgu, ks. Konstantym Michalskim.

Znałem — w luźniejszym rozumieniu wyrazu — wszystkich chyba znacniejszych filozofów, historyków sztuki i estetyków świata z powojennego ćwierćwiecza, spotykając się z nimi corocznie na zebraniach międzynarodowych organizacji.

Kolegowałem na wydziałach uniwersyteckich lub w Akademii z tak wybitnymi jak: Tadeusz Zieliński i Waław Sierpiński, Stanisław Leśniewski i Stefan Mazurkiewicz, Juliusz Kleiner i Adam Krzyżanowski, z tak znanym i niecodziennym jak Wincenty Lutosławski. Od roku 1915 — przez tyle lat! — byliśmy na sąsiednich katedrach z Tadeuszem Kotarbińskim.

Znałem dobrze lub dość dobrze najpierwszych polskich pisarzy mej epoki, Prusa i Żeromskiego, Staffa, Lechonia i Leśmiana, Dąbrowską i Nałkowską.

Przyjaźniłem się ze starszymi ode mnie Marianem Massoniusem — filozofem, Janem Bożo-Antoniewiczem — historykiem sztuki, i Eugeniuszem Romerem — geografem, a także z również nie żyjącymi już rówieśnikami: z filozofami — Romanem Ingardenem, Florianem Znanieckim i Czesławem Znamierowskim; z Zygmuntem Batowskim i Tadeuszem Mańkowskim — historykami sztuki; z Edwardem Wittgiem i Augustem Zamoyskim — rzeźbiarzami; Kazimierzem Wierzyńskim, ks. Władysławem Kornilowiczem, z czołowym filozofem Niemiec — Heinzem Heimsoethem. Spośród żyjących najdawniejsze przyjacielskie stosunki — od 75 lat — łączą mnie z doktorem praw Adamem Nagórskim.

Dworami monarszymi nie bardzo mogę się popisywać: jedynie u króla szwedzkiego byłem raz na obiedzie. Za to w ambasadach nabywałem się wiele przez pół wieku i nie żałuję tych godzin, bo dały mi poznać wielu ludzi z wielu krajów, a innego pokroju niż ludzie mego zawodu.

Jaki wynik tej wielorakości spotkań, tego czasu poświęconego stosunkom z ludźmi? Myślę, że wszyscy ludzie są ostatecznie podobni do siebie i że podobieństwa przeważają nad różnicami. Ale z drugiej strony — każdy jest cośkolwiek inny. Niektórzy są na tyle inni, że aż wydają się dziwni. Najdziwniejszymi ludźmi, jakich znałem, byli: Marian Wawrzeńcki i Stanisław Ignacy Witkiewicz — obaj malarze. Franciszek Fiszer był nie tyle dziwny co malowniczy. Tak niegdyś znany w Warszawie Bazewicz nie był dziwny, lecz dziwaczny.

36

Skłonny zawsze byłem oceniać ludzi indywidualnie, nie grupowo. W grupach bowiem — zawodowych czy społecznych — spotykałem jednostki jak najbardziej różnego pokroju.

Kończę życie w społeczeństwie wyrównanym, prawie jednowarstwowym, ale zaczynałem je w czasie, gdy Polacy stanowili naród wielowarstwowy, w którym jedne warstwy były od drugich uważane (przez innych bodaj więcej niż przez siebie samych) za lepsze okazy ludzkości. Znałem jednostki stojące na wysokich szczeblach drabiny (nie tylko ze względu na własne zalety, lecz za przynależność do szczebla): i takie, które usilnie starały się wejść na wyższe szczeble.

Każdy szczebel ma swe zalety i swe wady: złośliwi uważali, że szczeble wyższe cechuje pycha, a niższe zawiść. To zresztą przemawiałoby na korzyść góry, bo pycha jest bodaj znośniejsza od zawiści. Ale przecież nie cała góra była pyszna, ani cały dół zawistny. Nie było ludzi prostszych i bardziej pozbawionych pychy niż państwo z Wilanowa czy państwo z Peczary; nie było bardziej oddanych krajowi i dobroczynnych niż ostatni właściciel Kórnika lub ostatni ordynat na Opinogórze; nie było wierniejszego przyjaciela od pani z Królikarni.

37

Ludzi wybitnych znałem wielu; ale znacznie więcej przeciętnie inteligentnych. Ci stanowią większość i do tej większości, jak sądzę należę, co mi pozwala większość ludzi rozumieć i być przez nich rozumianym. Nie lubię, gdy mnie kto nudzi, staram się też innych nie nudzić. W szczególności tych, którzy czytają me książki. I sądząc z ich reakcji, czasem mi się to udaje.

Za mój obowiązek pisarza mam przede wszystkim: wyłożyć rzecz prosto i jasno. Uważam za ciężki zarzut, gdy mi ktoś powie, że mnie nie zrozumiał. Bo raz jeszcze to powtórzę: aby twierdzenie czy pojęcie przeszło z umysłu piszącego (czy mówiącego) do umysłu czytającego (czy słuchającego), musi być dokonana pewna praca, a sądzę, że jest lepiej, gdy ją wykona piszący (czy mówiący). W myśl tego sam postępowałem.

W młodych latach męczyłem się nieraz nad cudzymi ciemnymi książkami; teraz, gdy nie rozumiem, raczej rezygnuję z lektury. Może czasem na tym tracę; ale częściej zyskuję. Jest na szczęście jeszcze dość jasnych książek do czytania.

38

W zapiskach do autobiografii nie może braknąć choć kilku zdań o upodobaniach artystycznych. Muszę tedy powiedzieć, że moje upodobania i reakcje na sztuki nie są jednorodne. Z własnego doświadczenia wysnułem pluralistyczną koncepcję estetyki. Z niego też wyprowadziłem pogląd, że marzenie jest tak samo jak skupienie naturalną reakcją na sztukę, że zarówno jedno, jak drugie może być reakcją właściwą.

Na muzykę — przede wszystkim — nie reaguję skupieniem. Ma to przyczynę nie tylko w lotnej naturze tej sztuki, ale także w moim braku kompetencji. Wszakże marzenie mi to wynagradza. Muzyka jest dla mnie rzeczą rytmu i marzenia: ale to jest dużo. Z klasyków najwięcej mi tego daje (oczywiście!) Szopen. Lecz również *Bolero* Ravela, *La grande valse brillante* Ewy Demarczyk, wiele pieśni włoskich i piosenek paryskich. Dopiero niedawno poznałem muzykę liturgiczną wschodniego obrządku: zachwyciłem się.

Inaczej jest ze sztukami w z r o k o w y m i. Sporo o nich wiem — i to sprawia, że reaguję podwójnie: na podstawie tego, co widzę, ale też tego, co wiem. O wielu kompozycjach włoskiego baroku czy holenderskich pejzażach wiem, że są godne podziwu, ale przyjemności mi nie sprawiają. Natomiast Piera della Francesca czy Caravaggia, Maneta czy Modiglianigo nie tylko podziwiam, ale wielbię. Mogę obrazy ich oglądać wciąż na nowo, jak słuchać *Bolero*.

Uwielbienia nie są wieczne: dziś mniej niż dawniej działają na mnie figurki tanagryjskie i rokokowe dekoracje. Znacznie więcej Jacek Malczewski. Od pewnego czasu wielkie zadowolenie sprawiają mi fotografie: nieporównanie wolę dobrą fotografię krajobrazu od krajobrazu średnio namalowanego. A tak samo jest z portretami.

Sporo trudu włożyłem w to, by określić różne formacje stylowe; co to klasycyzm, a co romantyzm. W zasadzie jestem za klasycyzmem. Upodobanie do klasycyzmu jest może refleksem teoretycznych studiów, ale podobają mi się dobre okazy wszystkich rodzajów. Z wlaszcza jednak dawniejsze, bo wobec nich mam już potrzebny dystans i mniej zauważam co w nich było złe. Kiedyś ludzie będą tak reagować na sztukę, która dziś powstaje: nie zauważać już tego, co obecnie w tej sztuce razi.

W młodych latach nic mnie tak nie pochłaniało jak beletrystyka. Łącząc dwie cytaty z Boya powiem, że „czytałem, ile się zmieści, śliczne francuskie powieści”, a czytałem „dużo, byle jak i prędko”. Była w Warszawie przedwojennej ogromna wypożyczalnia książek na Mazowieckiej 11; brałem tam nowy tom prawie codziennie i nazajutrz przychodziłem po następny. Wolałem tomy nowel od powieści, bo w nich „przemiana materii” w wyobrazeniach była szybsza. Bardzo lubiłem opowiadania Prusa, ale Faraona nie czytałem. Wielbiłem Żeromskiego, nie czytałem nic prawie Reymonta. Mój szalony beletrystyki skończył się z wyjazdem w roku 1905 za granicę. Choć i potem czytałem dobre książki niemieckie w Niemczech czy francuskie we Francji, angielskie w Stanach. Smak mój zmienił się o tyle, że wolę teraz czytać sagę Forsytów i *Noce i dnie* niż krótkie nowele. Przeglądając odsyłacze do mej książki *O szczęściu* widzę, że beletrystykę światową aż po połowę XX wieku znałem, jak należy.

Do teatru miałem szczęście. W mych szkolnych latach teatr „Rozmaitości” był cudowny. W latach akademickich w Berlinie i Paryżu chodziłem do teatru bez miary, ale i bez znużenia: były to najświetniejsze czasy teatru zarówno niemieckiego, jak francuskiego. Wolałem małe teatry, bulwarowe, ze współczesnym repertuarem, od klasycznego Théâtre Français — i to upodobanie zachowałem po dziś dzień. Nie widziałem już później tak wielkiego aktora jak Guitry (Lucien, ojciec Sachy) ani tak uroczej aktorki jak Rogers, ani takiej wystawy jak *Kupiec wenecki* w Reinhardta Deutsches Theater z ruchomą sceną. Widziałem wiele przepięknych przedstawień MCHAT'u: Czechowa, Gorkiego i Tołstoja. Widziałem jeszcze Eleonorę Duse. Po powrocie do kraju byłem na pierwszym przedstawieniu Teatru Polskiego. A potem — przestałem chodzić do teatru. Ktoś powiedział, że każdy ma jakąś jemu sądzoną ilość przedstawień teatralnych. Tę, która była mi przeznaczona, wyczerpałem prędko.

Teraz chodzę do kina. Był czas, gdy mi się ono podobało „jako takie”, bez względu na treść mogłem wejść w środku pokazu. Potem przyszły wielkie lata filmu z Gretą Garbo, Jean Gabin, Sophią Loren. Dziś się to bardzo zmieniło. Chodzę nadal często, ale — rzadko z zadowoleniem. Różne rodzaje kinematografii stopniowo zaczęły mi obojętnieć, a nawet brzydnąć.

Nie lubię więc filmów historycznych, bo im nie wierzę; w rzeczywistości było na pewno inaczej. Nie lubię „science fiction”, bo im też nie wierzę; będzie na pewno inaczej. Nie lubię filmów typu opery

i „grand spectacle”, jak też nigdy nie lubiłem oper i wielkich pokazów. Rzadko lubię filmy komiczne, bo są przeważnie jak cyrki (a bez tego, co w cyrku było najlepsze: konie, słonie, lwy). Rzadko lubię westerny, bo ich już za dużo widziałem. Nie lubię kreskowych, bo są po prostu brzydkie. Nie lubię filmów dla dzieci i młodzieży, bo na szczęście nie jestem już dzieckiem, a niestety nie jestem już młodzieńcem. Rzadko lubię zekranizowania znanych powieści: cieszyłem się na Bogumiła i Barbarę, dobrych znajomych, tymczasem — to nie byli oni, a w każdym razie nie byli tacy, jakimi ich sobie wyobraziłem.

Więc jakie filmy lubię? Naprawdę to tylko obyczajowe: przedłużenie życia z jego konfliktami, dramataми, uczuciami, radościami i melancholią. Niekoniecznie muszę myśleć: „to są moje dzieje”, ale mogłyby nimi być. Do tego musi dołączyć się piękno świata, widoków, wnętrza, ludzi. Musi się też przyłożyć pomysł i bystre spojrzenie, bo inaczej — jak w każdej sztuce — będzie trywialność i nuda. To upodobanie ma zapewne analogię z moim upodobaniem do fotografii.

39

Może nie mam racji, ale wydaje mi się, że autobiograf powinien zdać także sprawę ze swych upodobań moralnych i umysłowych.

Z zalet moralnych cenię nade wszystko życzliwość ludzi dla ludzi, a nie lubię zawiści. Wolę uprzejmych niż szczerych, którzy mi mówią, że źle wyglądam lub że napisałem niemądry artykuł. Cenię zrozumienie dla stanowiska przeciwników. Nie lubię tych, co tylko o myślących podobnie do nich, sądzą, że myślą oni słusznie, postępowo, patriotycznie. Cenię cierpliwość, ale sam nie jestem cierpliwy i sądę, że jest to cnota niezbyt korzystna dla tego, kto ją posiada.

Chyba to gdzieś czytałem, że duma i pycha tym się różnią, iż dumny jest dumny z tego, czym jest, a pyszny pyszni się tym, co ma; jeżeli tak, to pycha jest mniej niesympatyczna od dumy.

Nie lubię starań, zabiegów, próśb, ciągłego pamiętania o własnych sprawach, korzyściach i zyskach; i nie lubię tych, co wciąż o coś zabiegają, o coś się starają; myślę zresztą, że to wszystko rzadko jest skuteczne: choć w życiu nie mało było mi dane, to jednak o nic (czy prawie o nic) się nie wystarałem, niczego nie wyprosiłem; jak miałem mieć, to i tak miałem.

Summa summarum sądę, że cnoty chrześcijańskie nie tylko są cnotami, ale też przeważnie życiowo skutecznymi zaleceniami.

*

Osiągnięcia naukowe zawdzięcza się zarówno szczególnym zdolnościom (a więc darowi natury), jak umiejętnemu wysiłkowi. Jednakże wśród uczonych, z którymi miałem do czynienia, tych wyjątkowych, mających szczególne dary umysłowe, znałem niewiele; a przecież znałem bardzo wielu pracowników zasłużonych dla postępu wiedzy ludzkiej. Oczywiście musieli być inteligentni, choć nie byli geniuszami. Wielkimi zaletami umysłu jest zarówno dar odrębnego, nowego patrzenia na rzeczy, jak dar ładu. Myślę, że zasłużyli się dla nauki i pchnęli ją na nowe tory nie tylko geniusze, ale też sumienni pracownicy. Historia myśli ludzkiej nauczyła mnie, że wiele przełomowych twier-

dzeń było nie tworem geniusza, lecz szczęśliwego ukształtowania umysłu, a także szczęśliwej sytuacji, która dojrzała do odkryć i przejścia na nową drogę myślenia. Niepodobna liczyć na geniuszów; a tym bardziej na ich hodowlę; olimpiady naukowe nie pomogą. Natomiast można i trzeba wśród ludzi szukać inteligencji, bystrości umysłu. Bez niej humanistyka staje się nudą, a pewno w przyrodoznawstwie, matematyce, nawet technice jest podobnie.

Trzeba też domagać się od uczonego (nie tylko od artysty) smaku; inaczej praca jego będzie trywialna.

Nie trzeba oczekiwać od uczonego genialnych pomysłów, ale można i trzeba oczekiwać i domagać się ładu. Ładu w myśleniu i pisaniu. Ładu i jasności. Inteligencja i smak są dezyderatami, ale ład jest obowiązkiem uczonego.

40

Psychologowie interesują się periodyzacją życia, oddzieleniem faz rozwoju, głównie dziecka, ale niekiedy też człowieka dorosłego. Spotkałem następujący podział dojrzałego życia na cztery okresy:

1. Okres stabilizacji planu życiowego i skupienia się na jego realizacji w przyszłości;
2. Okres ekspansji życiowej, realizowanie planu, dokonanie swego *opus magnum*;
3. Okres regresji, starzenia się, gdy główne dzieło życia jest już dokonane i pojawiają się tylko oderwane zrywy działania;
4. Okres starości, ograniczenie zasięgu działania, podsumowywanie własnego życia.

Moje dzieje niezupełnie potwierdzają tę periodyzację: 1. Nie miałem w początkach życia ustabilizowanego planu; 2. Lata późniejsze (przypadające na okres międzywojenny) były dla mnie istotnie latami ekspansji; ale czy napisana wówczas *Historia filozofii* była moim *magnum opus*? Nikt jej tak nie nazwał (raczej nazwano tak napisaną znacznie później *Historię estetyki*), ale może rzeczywiście — w sensie siły oddziaływania — była to moja praca główna? 3. W żadnym zaś razie po jej napisaniu nie powstało poczucie starzenia się i regresji; dalej robiłem swoje i to stale, nie „zrywami”, zaraz zaczynając nową robotę, gdy skończyłem poprzednią; 4. W ostatnim okresie nastąpiło pewne ograniczenie życia osobistego, jednakże nie pracy naukowej. Robiąc te autobiograficzne zapiski, istotnie „podsumowuję” swe życie: jednakże robię to na skutek namowy, a nie z własnej inicjatywy.

W sumie wydaje się, że życie me niezupełnie jest typowe, nawet dla węższego kręgu, do którego należę: dla polskich pracowników naukowych na polu humanistyki.

41

Życie me nie przebiegło według planu; planu po prostu nie miałem. Działy przyczyny, nie cele. Co najwyżej działały cele częściowe i bliskie. Decyzje zapadały nie tyle drogą wyboru („to mi odpowiada”), ile eliminacji („tego nie chcę”). A nawet: wyrażenie „decyzje” nie jest ścisłe; *modus vivendi* ustalał się jakby sam, gdy odpadły inne możliwości, do których miałem niechęć, a przynajmniej nie miałem pojęcia.

Czy więc nie miałem celów w życiu? Miałem tylko jeden, bardzo ogólny: by to życie znośnie i przyzwoicie przeżyć. A poza tym tylko cele bardzo szczegółowe: napisać taką oto książkę, opracowując temat, który mię pociągał albo był mi zadany, znaleźć mieszkanie czy też obmyślić podróż. Natomiast nie miałem celów pośrednich: nie projektowałem, że życie poświęcę nauce, że będę pracować na polu filozofii. Zrobiło się to samo, przez wyłączenie innych możliwości czy przez nacisk sytuacji.

Czytałem kiedyś, o lordzie Rosebery, mającym poczesne miejsce w dziejach Anglii na przełomie XIX i XX wieku, że od młodu postawił sobie trzy cele: ożenić się z najbogatszą dziedziczką Anglii, zostać premierem Anglii i wyhodować konia, który wygra epsomskie derby: wszystkie trzy cele osiągnął. Nic mi nie było dalsze niż stawianie sobie celów takich: nie tylko tak trudnych i snobistycznych, ale także tak określonych i zdecydowanych. Moje dzieje można też tak określić: raczej los kierował nimi, niż ja próbowałem kierować losem. Nie wstydzę się tego, choć zapewne nie doceniałem możliwości jednostki w jej zapasach ze zdarzeniami.

Każdy ma swój sposób widzenia rzeczywistości. Jedni są nastawieni na widzenie w niej nadzwyczajnych zdarzeń, inni zaś na widzenie codzienności, mniej lub więcej zawsze podobnej. Churchill opowiada w swych pamiętnikach, że miał za młodu okazję rozmawiać ze znanym mężem stanu, jakim był Sir William Harcourt, i oczekiwał od niego wskazówek co do przyszłości: jakich ma oczekiwać wydarzeń, co będzie się niebawem dziać? „Młody człowieku, odpowiedział mu tamten, doświadczenie długiego życia nauczyło mnie, że w ogóle nigdy niczego nie należy oczekiwać, bo nigdy nic się nie dzieje”. Otóż mam skłonność do widzenia świata w sposób podobny do Harcourta. I miałem sposobność, podobnie jak ją miał Churchill, przekonać się dotkliwie, że nie jest to widzenie trafne.

W sumie: czy byłem szczęśliwy? Nie w sensie upojenia życiem, lecz — zadowolenia z życia. Raczej tak; a przyczyniły się do tego dwie moje właściwości: słaba pamięć i słaba zdolność przewidywania. Dzięki temu krótko pamiętałem zło, jakie mię spotkało. A także nie oczekiwałem zła, jakie mię czekało, i przeto nie cierpiałem przedwcześnie.

Nigdy nie myślałem, że źle pokierowałem mym życiem. Przede wszystkim dlatego, że nim mało kierowałem, raczej ono mną. Wprawdzie niekiedy snulem wyobrażenia tego, co by było, gdyby było inaczej; w młodszych latach miałem nawet upodobanie do tego, co Niemcy nazywają *Wachtraüme*. Ale to były wyobrażenia raczej niż pragnienia. Jednocześnie zaś nie jest pewne, czy rodzaj mej pracy odpowiadał rodzajowi mego umysłu. Jeśli nawet mam uzdolnienia naukowe, to raczej inne niż filozoficzne. Jeżeli zaś mam filozoficzne, to nie tego rodzaju, jakiego ogół od filozofów oczekuje. Rozważania nad bytem i wszechświatem napełniają mię zarówno lękiem, jak nieufnością. Zajmowałem się — jako historyk — tym, co wielcy myśliciele sądzili o bycie i wszechświecie, ale to co innego niż wypowiadać się samemu. Jeżeli sam się wypowiadałem o świecie, to tylko o jego niektórych własnościach i wartościach: moralnych i estetycznych, usiłując je

uprościć i rozwikłać; jednakże myśli mych nigdy nie rozwijałem w system. Pisząc o najogólniejszych kategoriach etyki i estetyki, dawałem ich przykłady, ale w system ich nie zebrałem.

Nie odbiera mi to jeszcze prawa do tytułu filozofa: boć tak nazywa się nie tylko tych, co formują teorię bytu, ale także tych, co dowodzą, że tej teorii uformować niepodobna. Za filozofów byli zawsze uważani także pozytywiści i kiedyś Bohdan Kieszkowski zaliczył mię do nich. Wszakże nie twierdzą, jak oni, że „niepodobna” uformować ogólnej teorii bytu, lecz tylko, że ja nie umiałem takiej teorii uformować i nie umieli też ci myśliciele dalecy i bliscy, których znam. I nie twierdzą — jak to czynili klasyczni pozytywiści — że wiedza nasza ogranicza się do jednostkowych faktów.

43

Nie mam zaufania do ludzi ambitnych, niechętnie jestem usposobiony do ambicji. W jaskrawym przeciwieństwie do Władysława Witwickiego, który napisał jej monografię i pochwałę. Określał ją jako dążenie do uniezależnienia się od ludzi, do ich pokonywania, do wyróżniania się wśród nich, a zarazem jako dbałość o ich uznanie. Przy tym rozumiał ją jako instynkt, co implikowało, że jest potrzebna, korzystna, przyjemna, że jest właściwością dodatnią, którą należy rozwijać i kultywować.

Nie odpowiada to moim upodobaniom i przekonaniom. Myślę, że ambicja ma tendencje, by stać się wygórowaną, a wygórowana ambicja pacy i utrudnia życie. Jest korzystna dla rzadkich ludzi, w rzadkich wypadkach. Jest niebezpieczna, zarówno z hedonicznego, jak z moralnego punktu widzenia. Z moralnego dlatego, że łatwo wchodzi w kolizję z podstawową zasadą: *leben und leben lassen*. Z hedonicznego dlatego, że ambitny stwarza sobie łatwo wrogów.

Sądzę, że niechętny stosunek do ambicji wyniosłem z domu. Na ogół mają go ci, którym dzieciństwo układało się pomyślnie, pod opieką starszych, raczej niż ci, których wychowywali rówieśnicy we wspólnych zabawach i antagonizmach.

Nie miałem zwłaszcza tej ambicji, by to, co robię, robić doskonale. Ani zwłaszcza: robić lepiej od innych. Natomiast jak najbardziej zależało mi na tym, bym swoje robił dobrze. Pod tym względem nie żałowałem trudu, rękopisy me były poprawiane bardzo długo, wielokrotnie: gdy zostały przepisane, poprawiałem je dalej, aż trzeba było przepisywać na nowo.

Byłoby rzeczą godną zachodu z punktu widzenia ambicji przestudiować wieki przeszłe: które z nich były wiekami rozbudzonych ambicji. Grecja na pewno była takim okresem: gry olimpijskie były tego objawem. Ale też pojawiła się reakcja: postawa cyników i epikurejczyków. Tak samo później „ethos rycerski” był ethosem ambitnych; ale i wtedy od razu powstała reakcja: ruch franciszkański.

Mój brak sympatii do ambicji jest także — jak sądzę — śladem stosunków z doby mego dzieciństwa. Natomiast ten brak sympatii może się wydać rażący w okresie przodowników pracy, nowych gier olimpijskich, maratonów tańca, misterów Warszawy. Ale już bodaj rodzi się ruch przeciwny: hippisi są szczególnie jaskrawym okazem społeczności o odprężonych ambicjach.



Władysław Tatarkiewicz — rzeźba Hanny Nałkowskiej

44

Miałem — nierzadką zresztą — właściwość, że nie lubiłem podejmować decyzji — przy tym szczególna była nie sama ta właściwość, lecz jej motywy. Bo nie dlatego zwykłem być zwlekać z decyzjami, bym był niezdecydowany i nie wiedział, co jest słuszne. Nie lubiłem decyzji, bo każdą odczuwałem jako zubożenie: bo po niej z wielu możliwości zostawała tylko jedna rzeczywistość. Każda decyzja jest wyrzeczeniem się tego, co nie zostało wybrane: jeżeli się decyduje jechać do Włoch, to wyrzekam się podróży do Hiszpanii; *Omnis decisio est negatio*. Jest dobrowolnym ograniczeniem.

W dodatku jest tak, że odkładając decyzję, można jej nieraz uniknąć: bo wątpliwa sytuacja sama się rozwiąże.

45

Od urodzenia do śmierci mamy do czynienia z niezmierzoną mnogością rzeczy. Mnogość tę w myślach układamy i dzielimy. I na ogół każdy czyni to podobnie. Przede wszystkim podobnie dzieli innych ludzi.

Pierwszym i najnormalniejszym jest ich podział na żywych i umarłych. Bo nie jest prawdą, byśmy żyli wyłącznie z żywymi: nasz świat jest wypełniony zarówno przez jednych, jak przez drugich. A zmarli nie są mniej realni nawet wtedy, gdyśmy ich nigdy nie znali innymi niż zmarłymi. Odkąd pamiętam świat, tylko me babki były żywe, a dziadkowie zmarli; niemniej — miałem przecież dziadków. Mickiewicz był pisarzem zmarłym, a Sienkiewicz żywym; Ale — obaj byli zarówno realni w tym świecie. A różnice ich kondycji przysłańało to, że żywego Sienkiewicza tak samo nigdy nie widziałem, jak Mickiewicza.

Z latami śmierć dokonywała przesunięcia ludzi z jednej kategorii — jeśli tak rzecz można — do drugiej: przychodziła wiadomość, że ten czy tamten zmarł. Tego czy tamtego odprowadzało się nawet samemu na cmentarz: wszakże przesunięcie go w świadomości do innej kategorii ludzi dokonywało się z oporem, obcowano się z nim myślami po dawnemu, nie inaczej niż z żywym. Jedynie śmierć domowników jest faktem postrzeganym, śmierć innych — tylko wyobrażanym i istniejącym w wyobraźni. Toteż tym łatwiej, a niepostrzeżenie, zmarły w naszej świadomości przechodzi do świata zmarłych. Klasa zmarłych zwiększa się stopniowo. Aż wreszcie chodząc po Powązkach mówimy sobie, że tu więcej bliskich i znajomych niż w Warszawie.

Zarazem klasa żywych w ciągu lat zwiększa się dla nas o nowych ludzi, o tych, co się urodzili, jak też o tych, co się pojawili w naszym pobliżu; przedtem ich dla nas nie było, teraz są.

Wszakże dla ludzi starszych normalną rzeczą jest stopniowe zmajoryzowanie żywych przez zmarłych: żywi z ich świata wymierają, starzy zostają sami ze zmarłymi. Toteż kto dobrze życzy innemu, powinien mu nie tylko życzyć, by długo był żywy, ale też by był — żywy między żywymi, nie zaś wśród cieni zmarłych.

„Istnienie to dobra rzecz” — mówi jeden z bohaterów Sienkiewicza i na pewno ma rację, ale istnienie to abstrakcja, rzecz w tym — jakie istnienie. Dobre jest najpierw — w pełni władz fizycznych i psychicznych; ale także — w zespole. Nikt nie wie, czy będzie długo żył, ale także — jak będzie żył. A jeśli niejeden zastrzega się przed długim życiem, to dlatego, że lęka się, by nie został sam między zmarłymi.

Dziecko chciałoby być starsze — by razem z dorosłymi i starszym rodzeństwem mieć prawo siedzieć przy stole. To starsze rodzeństwo, które już przy stole rodzicielskim siedzi, chciałoby być starsze, by pójść do szkoły i zasmakować koleżeńskiego życia. Uczeń ze szkoły podstawowej chciałby być starszy, by dostać się do liceum. Licealista chciałby posunąć się w latach, by przejść przez maturę i dostać się do szkoły wyższej. Student chciałby być starszy, by mieć studia skończone i mieć dyplom w kieszeni; gdy ma dyplom magistra chce dyplomu doktora. Świeżo kreowany doktor chciałby być starszy, by zużytkować dyplom, pozbyć się niepewności co do swego losu, zająć stanowisko, wyróżnić się w tłumie kolegów. Gdy został asystentem, chciałby być starszy, by nie być na szarym końcu zespołu, by mieć w tym zespole i wśród studentów lepszą pozycję. Potem też nie będzie mieć spokoju, aż nie zostanie profesorem. A podobnie będzie, jeśli poszedł inną drogą

niż szkolnictwa wyższego: i tu będzie o stopniu, na którym stoi, myśleć mniej niż o tym, na który ma wejść.

Jeśli zostanie profesorem, to będzie nadal chciał być starszy, nie zasnę spokojnie, póki nie zostanie profesorem zwyczajnym i członkiem czynnym Akademii Nauk. Gdy to osiągnie, to czy zatrzyma się w tym pędzie ku przyszłości? nie, bo zaczął pracę i będzie chciał ją skończyć. A gdy ją skończy, będzie chciał ją uzupełniać przez następne, bo jeden temat rodzi drugi. To znaczy — dalej będzie chciał być starszy.

Aż zatrzyma się, gdy przejdzie na emeryturę. Nie, nie zatrzyma się. Będzie chciał nadal kończyć coś, co zaczął — a wciąż się coś zaczyna. A każde (prawie) kończenie jest zaczynaniem czegoś nowego, nowym śpieszeniem do końca. Zajęty, przejęty, wciąż do czegoś dążący, człowiek nie zatrzyma się, by *dem Augenblicke sagen: verweile doch, du bist so schön*. Zresztą w późnych latach — i chwila nie jest już tak piękna, jak była niegdyś.

Ale przecież nie tylko pracą człowiek żyje. Są wakacje, rozrywki, sporty, gry. Ale i te są pod znakiem śpieszenia się ku przyszłości. Brydżysta śpieszy, by wygrać robra, tenisista — seta. Jeździec myśli o przesadzeniu przeszkody, którą ma przed sobą, myśliwy przejęty jest tą myślą o przyszłości: kiedy spotka i zestrzeli bażanta. Podróżny czeka chwili, gdy go po locie czy rejsie wypuszczą na lotnisku czy w przystani. Wszyscy nastawieni są na cel, czekają końca. Podróżny upojony jest Weroną, ale już pakuje walizę, by zwiedzać Vicenzę.

Lata mijają szybko i — z natury rzeczy — coraz szybciej, a pośpiech je jeszcze przyśpiesza. Wreszcie kończą się zarówno prace, jak zabawy: wyczerpały się siły. Ale i wtedy nie skończył się pośpiech i patrzenie przed siebie: żebyż jeszcze dożyć następnego dnia. Pośpiech trwa, pośpiech do końca. A tempo czasu nie zwalnia się, lecz przyśpiesza.

47

Goethe, gdy był człowiekiem przeszło osiemdziesięcioletnim, pisał, że „chciałby swe życie przeżyć powtórnie”. Podobnie Benjamin Franklin; czytałem niedawno (w książce Marii Dernałowicz), że do Izabeli Czartoryskiej mówił tak: „Nie miałbym nic przeciwko powtórzeniu mego życia od samego początku, prosząc jedynie o przywilej, z którego korzystają pisarze przy drugim wydaniu, aby poprawić pewne błędy pierwszego... Gdyby jednak tego mi odmówiono, pomimo wszystko przyjąłbym dar”.

Co do mnie — to zawsze byłem do życia przywiązany, nawet wtedy, gdy przynosiło przykrości, gdy nie byłem zadowolony z siebie, z innych ludzi, z układu wypadków. Byłbym gotów żyć znacznie dłużej, niż to jest dane człowiekowi. Samo istnienie to dobra rzecz, mówiłem sobie jak u Sienkiewicza; choć nie mówiłbym jak Żeromski o „rozkoszy bytu” i „szczęściu istnienia”. Myślałem sobie, że zwykle tematy tragedii są mało tragiczne w porównaniu z największą tragedią człowieka: że przestanie istnieć.

Teraz, pod koniec życia — nabrało ono dla mnie jeszcze nowych wartości. Już zrobiłem, co mogłem, nie potrzebuję się wysilać. Już wybrałem, jak żyć — nie potrzebuję się namyślać i niepokoić. A także — co równie ważne — wyszedłem z obiegu, przestałem być dla innych ludzi rywalem i przez to ludzie są dla mnie lepsi, żyję w łagod-

niejszej i przez to lepszej atmosferze. A tymczasem — stała się rzecz niespodziewana:

Oto opinia Goethego i Franklina przestała do mnie przemawiać. Straciłem ochotę do ponownego życia. To obecne niech trwa, ale niech się na nowo od początku nie zaczyna. Dlaczego ta zmiana? — Chyba dlatego, że radością nie jest sam proces życia, lecz przeżywanie nowych rzeczy.

Tragedią nie tylko jest musieć przestać być, ale też byłoby nią musieć dalej być. Zrozumiałe stało mi się pragnienie ludzi Wschodu: móc przestać być. Chrześcijańska koncepcja jednej egzystencji wydaje mi się doskonalsza, bardziej uszczęśliwiająca od wschodniej palingenezy.

Gdyby następne życie miało być takie samo jak obecne, to — nie jestem go ciekawy; gdyby zaś miało być inne, to bym się lękał, że będzie złe, bo niemało wszelakiej nędzy widziałem dokoła.

A zresztą? może to tylko zmęczenie? Zmęczenie po długim życiu. Odpocząć — i można zaczynać na nowo.

B. Tatarkewicz

ЗАПИСКИ ПО АВТОБИОГРАФИИ

1. Быстрые начала, 2. Полезные неудачи, 3. Семейный дом, 4. Смелость и застенчивость, 5. Непланированная жизнь, 6. Семья, 7. Дом на улице Długa, 8. Дом на улице Krakowskie Przedmieście, 9. Дом в деревне, 10. Новые слова и понятия, 11. Явления памяти, 12. Школа, 13. Необычайные дни, 14. В Варшаве с 1913 г., 15. Сила случая, 16. Первая мировая война, 17. Жизнь в двух лицах, 18. Вильно, 19. Познань, 20. Mezzo del cammin, 21. Путешествия, место в свете, 22. Моё время, 23. Книги, 24. Работа, 25. Общительность и светскость, 26. Здоровье, 27. Деньги, 28. Возвращение на родину, 29. Начало войны, 30. Вторая мировая война, 31. Послевоенные времена, 32. Ускоренное время, 33. Америка, 34. Professor emeritus, 35. Знакомые, 36. Стулени, 37. Следует писать просто 38. Художественные облюбования, 39. Моральные облюбования, 40. Фазы жизни, 41. Намерения, 42. Философия, 43. Честолюбие, 44. Принимание решений, 45. Живые и умершие, 46. Поспешность, 57. Конец.

W. Tatarkiewicz

NOTES POUR UNE AUTOBIOGRAPHIE

1. Les commencements rapides, 2. Les insuccès avantageux, 3. La maison de famille, 4. La hardiesse et la timidité, 5. La vie sans projets, 6. La famille, 7. La maison rue Długa, 8. La maison rue Krakowskie, 9. La maison à la campagne, 10. De nouveaux mots et notions, 11. Les phénomènes de la mémoire, 12. L'école, 13. Les jours peu communs, 14. A Varsovie depuis 1913, 15. La puissance du hasard, 16. La Première Guerre mondiale, 17. La vie dans deux personnes, 18. Wilno, 19. Poznań, 20. Mezzo del cammin, 21. Ma place dans le monde, 22. Mon temps, 23. Les livres, 24. Le travail, 25. La sociabilité et la mondanité, 26. La santé, 27. L'argent, 28. Le retour au pays, 29. Le déclenchement de la guerre,

30. La Deuxième Guerre mondiale, 31. Les années d'après-guerre, 32. Le temps accéléré, 33. L'Amérique, 34) professeur emeritus, 35. Les amis, 36. Les degrés, 37. Écrire simplement, 38. Le goût artistique, 39. Les idées sur la morale, 40. Les étapes de la vie, 41. Les projets, 42. La philosophie, 43. Les ambitions, 44. La prise des décisions, 45. Les vifs et les morts, 46. La hâte, 47. La fin.

W. Tatarkiewicz

AUFZEICHNUNGEN ZUR SELBSTDARSTELLUNG

1. Schnellaufende Anfänge; 2. Günstige Misserfolge; 3. Das Elternhaus; 4. Die Entschlossenheit und Schüchternheit; 5. Ein nicht festgelegtes Leben; 6. Die Meinigen; 7. Das Haus in der Długa-Strasse; 8. Das Haus in der Krakowskie Przedmieście-Strasse; 9. Das Haus auf dem Lande; 10. Neue Ausdrücke und Begriffe; 11. Merkwürdigkeiten des gedächtnisses; 12. Die Schule; 13. Ungewöhnliche Tage; 14. In Warszawa seit dem Jahre 1913; 15. Die Macht des Zufalls; 16. Der I. Weltkrieg; 17. Ein Leben zu zwei; 18. Wilno; 19. Poznań; 20. Mezzo del cammin; 21. Die Reisen; mein Ort in der Welt; 22. Meine Zeit; 23. Die Bücher; 24. Die Arbeit; 25. Die Gesellschaftlichkeit und Weltlichkeit; 26. Die Gesundheit; 27. Das Geld; 28. Die Heimkehr; 29. Der Kriegsausbruch; 30. Der II. Weltkrieg; 31. Die Nachkriegszeit; 32. Beschläunigte Zeit; 33. Das Amerika; 34. Professor emeritus; 35. Der Bekanntenkreis; 36. Die Stufen; 37. Einfach und klar; 38. Die Kunstneigungen; 39. Die Moralneigungen; 40. Die Lebensphasen; 41. Projekte; 42. Die Philosophie; 43. Der Ehrgeiz; 44. Die Entschlussfassung; 45. Die Lebendigen und die Toten; 46. Die Eile; 47. Das Ende.